

Prezydium KC KPCz
zaaprobowało
wyniki rozmów
E. Gierka
i G. Husaka

PRAGA (PAP) — Jak informuje Agencja CTK, Prezydium KC KPCz omówiło wyniki spotkania w Polsce w dniach 18—20 bm. I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka z sekretarzem generalnym KC KPCz, prezydentem CSRS Gustavem Husakiem.

Prezydium KC KPCz wysoce oceniło przebieg i rezultaty tego spotkania, które stało się nowym impulsem w pogłębianiu braterskiej współpracy we wszystkich dziedzinach wzajemnych stosunków między oboma państwami i narodami. Odpowiada to najwyższemu interesowi polskiego i czechosłowackiego narodu, umocnieniu jednolitości i zwartości państwa w oparciu o socjalistyczny, komunistyczny i robotniczy system, umocnieniu pokoju i postępu w świecie.

Sytuacja w transporcie i energetyce
Z prac Prezydium Rządu

WARSZAWA (PAP) — Jak informuje rzecznik prasowy Rządu — 23 bm. Prezydium Rządu zapoznawało się z kolejną oceną sytuacji w transporcie i energetyce, a także z zapewnieniem gospodarki i ludności w ciepło i opał. Nawiązując do ustaleń czwartkowego posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, Prezydium Rządu poleciło zainteresowanym resortom i służbom, a także ogólnom gospodarki komunalnej i terenowej prowadzenie dalszych energicznych działań dla usunięcia skutków mrozów i śnieży, w pełnej gotowości muszą być nadal utrzymywane środki i sprzęt przeciwniegowy. Stwierdzono, iż na plan pierwszy wysuwają się prace związane z usprawnieniem dostaw, transportu i

odbioru towarów. Na terenach wiejskich zachodzi konieczność bardziej aktywnego włączenia się ludności do prowadzonych akcji oczyszczania szlaków komunikacyjnych i dróg.

W kolejnym punkcie obrad Prezydium Rządu przyjęło uchwałę w sprawie kompleksowego zagospodarowania centralnego rejonu wydobywczego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym, w województwach chełmskim i lubelskim. Przewidziano tam budowę 6 kopalń oraz zakładu wzbogacania węgla. Zakłada się, że wydobyte w tym rejonie powinno przekroczyć w 1985 r. poziom 6 mln ton oraz szybko wzrastać w latach następnych.

Prezydium Rządu rozpatrzyło wykorzystanie maszyn i u-

ządzeń produkcyjnych w przemyśle. Podstawą dyskusji i przyjętych decyzji były materiały sporządzone przez Najwyższą Izbę Kontroli, która zbadała te sprawy w zeszłym roku w kilkudziesięciu zakładach, a także informacje zainteresowanych szefów resortów.

Na posiedzeniu omówiono problemy związane z rozwojem produkcji miedzi elektrolitycznej. Wychodząc z oceny stanu realizacji ustaleń Rządu przyjętych w pierwszym półroczu 1978 r., określono środki i przedsięwzięcia niezbędne dla zwiększenia produkcji miedzi w przyszłym 5-leciu, zgodnie z istniejącym programem.



Pani Leokadia lubią w zakładzie za to, że nie pyskała, że nie wtrąca się gdzie nie trzeba, że jest na każde zawołanie zwierzchników.

Pani Leokadia mówi, że jest kontaniarką, jej przełożony, mistrz Tarasewicz, że starszą kontaniarką, a kierownik zakładu Krawczuk, że najlepiej będzie, gdy napiszę: starszą zgrzeblarką, ponieważ pracuję przy maszynach, które nazywają się zgrzeblarkami, a które dają początek procesowi produkcji tkanin wełnianych.

cy, jest na każde zawołanie zwierzchników.

W dowód tego uznania — parę lat temu, pani Leokadia otrzymała tytuł „Zasłużonej pracownicy zakładów im. Sierżana” i tyśię złotych nagrody na do-datek. Od tamtej pory traktowana jest w zakładach jako pracownica zaufana. Z tym wiąże się pewne przywileje. Nie może być kontrolowana na por-tierni i w pierwszej kolej-

W hali stoi sześć zestawów zgrzeblarek. Każdy zestaw to trzy maszyny: su-rówka — czyli ma-szyna wstępna, pel-cówka — maszyna środkowa lub kożuchowa i włás-kontania — maszyna

bardzo nie obchodzi. Posta-wili ją tu, żeby pracowała. I to robi. Sześć zestawów zgrzeblarek obsługuje 12 ko-biet. Pani Leokadia Tichof-czuk jest najstarszą pracow-nicą. Dłuższym stażem może pochwalić się tylko Sergiusz Remża — chyba najstarszy

piętnaście przed szóstą. Ze-ły naoliwić maszyny, rozej-rzać się czy wszystko w po-rządku, i punktualnie o szóstej ruszyć z robotą. Wspólniczka pani Leokadii, Lucyna Polak od paru dni na chorobowym. Wczoraj do pomocy miała panią Halinę

Kontaniarką być

kończą. Przez te ma-szyny miedź przejeżdża zanim trafi do prze-dalalni. Na dwóch pierw-szych jest czyszczenie, na kontani dzielone na pasem-ka, z których w przedal-ni powstają nitki.

Pani Leokadia pracuje właśnie przy kontanii, jest więc kontaniarką, jest też zgrzeblarką, ponieważ tak nazywa się ten dział, a czy starsza, to już ją at tak

Od poniedziałku pani Le-okadia pracuje na pierw-szej zmianie. Już o szóstej rano trzeba być na stano-wisku. Dzisiaj, jak to czyni aresztą zawsze, przyszła

z szóstego zestawu. Ale dziś zabrakło tam ludzi i mistrz zabrał panią Halinę z pow-rotu, bo mistrz wie, że „Leokadia od maszyny nie odejdzie, a że chce i spry-tu jej nie brakuje — pora-dzi sobie z robotą. Fuszarki nie będzie”. I za to lubią panią Leokadię w zakla-dzie. I jeszcze za to, że nie pyskała, że nie wtrąca się gdzie nie trzeba, jeszcze ni-gdy nie spóźniła się do pra-

ności ma prawo do wczas-ów. Ale pani Leokadia nie ma at tak wielkich wy-magań. Urlopy spędza raczej w domu, tylko raz rodzin-nie wyjechali do Augusta-za, trzy lata temu. Podo-bało się owszem, jedzenie smaczne, obiad z trzech dań, „tylko trochę niesytnie i trzeba była cokolwiek do-

ciąg dalszy na str. 2



Dokąd
wybrać się
— zasto-
nowiają się
komunisty
— Antoni
Kłos
— z lewej,
Tadeusz
Szczepanek
i Mirosław
Lipiński
— fotore-
portaż
Gabara
Łomżyńskiego
na str. 1.



— Los szczególny, jaki jest udziałem malarstwa, nawet w obrębie sztuk plastycznych, ogranicza do nasza rozmowa o samotności sztuki, co uczynił Pan tematem swego spotkania z białostocką publicznością. Zatem — czy malarstwo jest samotne od zawsze, czy jest to wynik współczesnych przemian w sztuce, które ową samotność jeszcze potęgują?

— Umówmy się, że słowem „samotność” mającym pewien sens psychologiczny, którego do dzieła, a więc rzeczy odnieść nie można, będziemy posługiwać się jako pewną metaforą. Samotność sztuki realizowała się stopniowo; dzieła osadzone ongiś w sobie, przeznaczonych miejscach, w otoczeniu, które współdziałało w tworzeniu dzieła (czego przykładem może być Kościół) uniezależniały się następnie, aby osiągnąć rodzaj bytowania nie zakorzenionego, który przeznacza je na wystawę. Uniezależniając się samotni, tracili nie tylko swoje stałe miejsce, ale i fizycznie wokół nich obecny kontekst. Była to cena zapłacona za to, że dzieło sztuki

przeszło tkwić w kulturze lokalnej (na przykład gminy miejskiej), stało się obiektem wędrownym lub ekspozycyjnym dla potencjalnie nieskończonej szerokiej publiczności.

Czas nowsze stworzyły anonimowy rynek sztuki, za sprawą którego i ogólnej ruchliwości ludzi przemierzających kraje, kontynenty, różne obszary kulturowe dzieła trafiają czasem w otoczenie wręcz egzotyczne. Tak więc narodził się obraz, oderwany od elementów architektury, samostny, oddzielony ramą od otoczenia, lekki, przenośny, istniejący w jednym egzemplarzu, jako dzieło niepowtarzalne. Andrzej Osęka mówi, że o-brazy opuściły nasze życie codzienne, nie są już bezpośrednio przeznaczone do mego, pani mieszkanie, kupuje się je na aukcjach, wozą się z miejsca na miejsce, gromadzi się w muzeach, zawieszane na neutralnej ścianie, w neutralnym oświetle-niu, najlepiej w pustej sali. Stłoczone dzieła sztuki tracą część, nie wiadomo jak znaczną, swego sensu. Chwalmy muzeum, bo dzięki nim znamy wielkie dzieła, ale zarazem zdajmy sprawę z tego, co się stało.

— Mówimy o samotności sztuki jako procesie społecznym. Czy te przemiany niosły także konsekwencje natury artystycznej?

— W czasach, gdy malarstwo tworzyło się w najściślej-szym związku z obyczajem, historią, legendą, częś-cie znaczeń obrazów dla pew-nych kręgów odbiorców by-

ła bardzo przejrzysta. Dzie-ło było obecnie w którymś z węzłowych punktów spo-łecznego życia, uczestniczy-ło w celebrowaniu kultu lub władzy, w wojnie, gospo-darce, modlitwie lub świę-cie. Nie było przedmiotem jak przed rozwojem turyz-mu, który nie był nim pałac władcy, kamienie rynku, wiejskie chaty czy rodzinny pej-zaż. Oczywiście dzieło sztuki zawsze zachowywało sferę

stwo portretowe, któ-re również należy po-traktować jako kategorię kulturową, bo to nie jest tylko problem, że jakas piek-ła na pani siedzi na krześle. Zwykle się mówi, że por-tret unosił pewne psycho-logiczne właściwości mo-dela, bo też istniała cała wiedza odczytywania tych treści.

Sztuka przełomu XIX i XX wieku zamykała się zrywaniem tych więzideł

dużego się z renesansu, sztuka realistyczna, którą unieścił wiek XIX, funk-cjonowała, jak już mówi-liśmy, w ściślejszym związku z pewnym typem kultury, przede wszystkim literackiej. Dziś w bardzo różnej sytu-acji wszystkim odbiorcom po-trzeba jest znajomość o-gólnych przemian, bez tego bowiem często nie można w ogóle odnieść kontaktu ze sztuką, której treści są tego rodzaju, że nie mogą pow-

terasowanych malarstwem, gromadzące dokumentację do dzieł sztuki najnow-szej. Takie działania podej-muje m.in. niedawno powstałe centrum paryskie im. Pompidou, muzeum w Sztokholmie, wreszcie na gruncie polskim usiłował to robić Janusz Bogucki. Są próby wiązania twórczości amatorskiej i profesjonalnej nie po to, by hodować zresz-ty amatorów, ale by po-przez własne doświadczenia

jak sami określają. Norma jest tworzenie i odnawianie normy, jeśli za normę wzięmy przyjął własny, indy-widualny styl. Co więcej, mało kto osiąga wiek klasy-ka w ramach przyjętego i wymyślonego przez siebie stylu. W życiu jednego ar-tysty obserwuje się ewolu-cję, zwroty nie znajdujące żadnego wytłumaczenia.

Kiedy na przełomie stu-letia wkraczali na scenę liczne awangardy ze swymi

— Sztuka współczesna to prawdziwy kocioł, w którym miesza się modernizm, imitacja, autentyczna oryginalność. Ta ostatnia otwierając powinna salony sztuki, ale co to jest oryginalność? To co przywiezie ktoś ze świata do Warszawy jako pomysł własny, będzie funkcjonowało tak długo jako oryginalne, dopóki ktoś inny nie odkryje, że znacznie wcześ-niej ów pomysł przyjął się gdzie indziej? Niezmiennie więc łatwo o nadużycia, a bardzo trudno o kryteria, dzieło znalazło się poza ob-rebem tych kategorii sen-sów, treści, które wspólne były szerszemu kontekstowi kulturowemu. Jest trud-ne do porównania i walo-ryzowania.

Krytyka stara się pomóc we wskazaniu jego utajonych implikacji, przełożyła artystyczne treści na język bardziej dyskursywny. Mu-szę powiedzieć, że wynalaz-łość niektórych krytyków wręcz mnie zadziwia — cze-go to oni nie są w stanie wypatrzyć w obrazie! No, a-le ja może jestem zbyt zamknięty na skojarzenia i nie powołany do ocen...

— W sztuce współczesnej prosperuje też jeszcze kon-wencja realizacyjna, bar-dziej dla publiczności przy-szwajalna. Czy może być o-na traktowana jako etap przygotowywania dla bezrad-nego, ale pełnego dobrej woli odbiorcy?

— Nie bawmy się w su-rowych sędziów, rzeczne, epi-gofskie malarstwo przedsta-

ciąg dalszy na str. 4

List do nieznanego przyjaciela

— Pewnej niejasności, pozwa-lającą na tę czarującą z nim grę, którą współcześni ba-dacze nazywają negocjowa-niem sensu. Niezależnie od indywidualnego odbioru, w którym każdy łączył w jakiś sposób swe pragnienia, doś-wiadczenia, skojarzenia kul-turowe, był pewien poziom, na którym porozumiewano się co do sensu własnego. Ma-larze malowali krajobrazy, które tkwiły w pewnym o-becności, przez które się podróżyowało, po których się spacerowało, krajobrazy swobodnie i egzotyczne, krajo-brazy przydomowe i krajo-brazy dalekich gór — i to wszystko było opatrzone wielorakimi znaczeniami w życiu. Rozwijało się malar-

nie łatwych pomostów, w naszych zaś czasach nastąpiła wyprowadzka malar-stwa z tych kulturowych ob-szarów, z którymi ono przez wieki owocnie korespondo-wało. Sztuka więc spotkała samotność duchową; straciła ona otoczenie równoległych wątków kultury — mitów, legend, obyczajów, opusto-szała znaczeniowo.

— Na anonimowym rynku sztuki kraja więc dzieła, stworzone dla anonimowego odbiorcy. Artyści zatem są w sytuacji piszącego listy do nieznanego przy-jaciela, że powołamy znów Andrzeja Osękę w jego o-brazowym porównaniu. Czy tak?

— Sztuka kanonu wywo-

stawać swarte kręgi publi-cności.

Wspólnota porozumienia, jaka tworzy się między ar-tystą a gronem jego entu-zjastów, jest w warunkach współczesnego społeczeństwa z natury sytuacji wspólnota anonimowa, niezidentyfiko-wana i społecznie nieokreślo-na. Tej publiczności nie można porównać z odbior-cami sztuki sprzed wieków, którzy gromadzili się w ko-ściołach i w ratuszach, gdzie funkcjonowało w ściślejszym związku z lokalną społecz-nością dzieło, zamówione przez gminę. Współczesna publiczność to niemal hob-byści, którym starają się po-móc niektóre galerie, sku-piające ludzi aktywnie zain-

teresowanych malarstwem, gromadzące dokumentację do dzieł sztuki najnow-szej. Takie działania podej-muje m.in. niedawno powstałe centrum paryskie im. Pompidou, muzeum w Sztokholmie, wreszcie na gruncie polskim usiłował to robić Janusz Bogucki.

Są próby wiązania twórczości amatorskiej i profesjonalnej nie po to, by hodować zresz-ty amatorów, ale by po-przez własne doświadczenia

— Wszeczhronna, totalna wręcz samotność po obu stronach już prawie w zna-czeniu psychologicznym.

SUWAŁKI. Godz. 11 — Dąbrowka koło Okunłowca — Suwałki. Festyn Zimowy pod hasłem „Baw się razem z nami!”. W programie wiele imprez, konkursów i widowów na śniegu, dla wszystkich chętnych bez względu na wiek.

Clag dalszy ze str. 1
kupować. Ale teraz, gdy wczasy pracownicze podobały, pani Leokadia nie planuje dłuższego wyjazdu poza Białystok, gdyż „lepiej za to kupić jakieś pantofelki czy coś do domu, grosz do grosza składa, bo może wypaść jakiś nieprzewidywany wydatek”.
Dzisiaj więc pani Leokadia jedyna na zestawie trzem. Ani na chwilę nie spuszcza oka z tego, co dzieje się na stanowisku. A stanowisko to trzy maszyny ustawione w obrębie 70 metrów kwadratowych. Maszyny te, wprawdzie niepospieszne, bo przedwojenne, jeszcze, poganiając człowieka, niełatwo utrzymać je w ruchu ciągłym, każdą „zatrudnić”, żeby nie krecły się jałowio, żeby szły równo, to „mistrz pochwali i jest to zadowolenie w człowieku, że jednak się coś potrafi”.

Pani Leokadia musi więc dopatrzeć, wsłuchać się czy wszystko idzie dobrze w maszynie wstępnej, czy wychodzi z niej włókno równomiernie wyndolowane, i czy aby nie za dużo surowca nawinęło się na przesłono dwumetrowy wał zbierający. Gdy na wale jest tyle runa co trzeba, a trwa to gdzieś z pięć minut, pani Leokadia zbiera płaty surowca i czym prędzej waży je na 10-kilogramowe porcje, na bezmianowej wadze, sił które za moment wsuwa w wałki, maszyny środkowej, czyli pelcówki, gdzie następuje dalszy, dokładniejszy proces czyszczenia. Co raz musi też pani Leokadia wczuwać się pod maszynę i kijem wygarniać resztki runa, kurzu, inaczej maszyna mogłaby się zapchać. A to przecież oznaczałoby przymusowy postój. Ledwo z tym zdąży, już biegnie do kontant — maszyn, która wymaga nie mniej pospiechu i uwagi niż dwie poprzednie razem

wzięte. Tu nie może być żadnego niedopatrzenia, ponieważ pasemka forganu nie zawsze snują się równomiernie, często się rwa, więc trzeba je szybko nawinąć na szpulę. Gdy tego nie zrobi się w porę, wyjdą braki w przedziałni czy w tkalni. I o tym pani Leokadia wie dobrze; z blisko 34 lat pracy, 32 spędziła właśnie przy obsłudze kontantii.

Dzisiaj, jak i wczoraj zresztą, leci eksport w ko-

Prządki i zgrzeblarki pracują w akordzie. Ile zrobią — tyle zarobią i stąd te wyalomne popędzanie. Dziś na szczęście idzie dobrze, gdzieś co 40 minut szpulę z forganem może odbierać przedziałnia, ale pani Leokadia nie może przysiąść nawet na chwilę. Oto, zbliża się godzina 10, a jeszcze nie miała czasu na zapalenie sporta. Mówi, że tak jest zawsze, gdy sama obsługuje trzy zgrzeblarki; koszula przylepia się do

mistrz przychodzi i „pani Łodziu, trzeba jakiś samą radzić, no i jak, odmówić człowiekowi, który przecież o mnie pamięta. Gdy trafi się jakaś premia, czy nagroda to zawsze nie pominię i da te 300 złotych. A wtedy człowiek widzi, że jest coś wart. W 49 roku jak poszarpało mnie rękę w maszynie, zakład dał 10 tys. złotych w starej walucie. A potem jak zachorował mąż na gruźlicę, to też dostałam parę złotych,

w maleńkim pokółku, który wydzilił nam rodzice. Tak, dziesięć dwa pokoje, z kuchnią to lukus. Ładne mieszkanie, 53 metrów kwadratowych na Marchewskiego 4. Syn Leon ożenił się i wyprowadził się z domu. Mieszkają na Mickiewicza. On pracuje w „Betescie” jako tokarz, ona w „Modzie Damskiej”. Specjalnie nie mówię ile zarabiają, ale nie biedują chyba. Mają fajnego synka, Sebastianka. Ach jak ja go lubię. Jeszcze lepiej niż swoje dzieci. Zawsze proszę, żeby przynieśli go do nas choć na sobotę. Nie możemy nacieszyć się tym dzieckiem, pięknie mówi, wierszki ładnie umie, a na mnie nazywa babuska...”

...Irena skończyła Liceum Ekonomiczne na Warszawskiej. Trzeci rok pracuje na zakładzie opałowym. Zarabia dwa i pół tysiąca złotych i do tego ma 30 procent premii. Starczy jej, ale nieraz dołożymy się, gdy robi jakieś większe zakupy. Parę złotych daliśmy jak sprawiała sobie srebrnego lisa, a na imieniny kupiliśmy jej magnetofon. Za mąż nie spieszy się wychodzić. Mówi, że u matki najlepiej...”

Pani Leokadia do soboty pracuje na pierwszej zmianie. Mąż, Aleksander również ma dwuzmianową robotę w spółdzielni inwalidów. Tak, że oboje chodzą na tę samą zmianę co piątą tydzień.
Jeszcze cztery godziny do końca zmiany w fabryce. Później dom, a więc obiad, jakieś zakupy, drobne przepierki w palce, co ma 23 lata, ale jeszcze chodzi. Po obiedzie — taka domowa krzątania. A wieczorem? — też znajdzie się robota, czasem na telewizję się popatrzy, czasem karty — jak jest z kim pograć. Taka druga zmiana, wcale nie lepsza niż w zakładzie.

ST. POGORZELSKI

Kontaniarką być

lorze miodowym. Do jakiego kraju i co z tego będzie, panią Leokadię aż tak mocno nie obchodzi, to sprawa szefów. Ona wie, że musi uważać, pilnować. W maszynie cztery szpule, na każdej 40 pasemek cienutkich, bo leci dziś „osemka”, to znaczy, że aż osiem metrów takiego pasemka waży jeden gram. Często się zrywa, nawet po kilka na raz. Więc biega pani Leokadia wokoło maszyn i z powrotem nawija pasemka na szpule, aby maszyna nie stała, musi zdążyć i dlatego wszystko „widzi po omacu”. Maszyna ją goni, nie może pozwolić na jakikolwiek luz, czy na dłuższe zatrzymanie zgrzeblarek, gdyż zaraz z góry przyłecą przadki i do niej „co ty Łodziu tak się guzdrzesz, dawaj szpulę z forganem, bo na chleb nie zarobimy”.

pleców, a jak po zmianie zajdzie do domu, to tylko leżeć się chce. Któregoś dnia wróciła ze zmiany, a mąż: „mama zjedz talerz gorącej zupy, a mnie lyżki nie chce się wziąć do ręki. Ale człowiek jak kamień, polczy, odsapnie i na drugi dzień znowu idzie, bo trochę ciągnie do zakładu i zarobić się chce, bo ten grosz tak wciąż potrzebny jest”.

Pani Leokadia za każde zastępstwo otrzymuje 25 złotych dziennie, a że zdają się one często, to trochę doleci do miesięcznej pensji. W lutym, na przykład, już jedenasty dzień pracuje sama, w styczniu miała 18 zastępstw, a w lipcu i sierpniu zeszłego roku 28. Więc mówi pani Leokadia, że to dla niej nie nowina. Nieraz by już nie chciała tych 25 złotych, ale

raz 600, drugi raz 400. No i jak nie starać się?”

Parę minut po dziesiątej pani Leokadia zatrzymuje maszyny, żeby wyczyścić, zapalić papierosa i ewentualnie zjeść jakąś kanapkę. Wczoraj miała ze sobą chleb ze smalcem i cebulą. Czasami to i z plasterkiem kiełbasy a nawet baleroniku, „ale teraz tak trudno z tymi zakupami, że człowiek jakos tam wytrzyma”. Dzisiaj więc obejdzie się bez kanapki, gdyż pani Leokadia w rannym pospiechu zapomniała po prostu wziąć. Idziemy na papierosa do pokoju mistrza, ponieważ w palarni zimno, że nie apsob wysiedzieć. Tak, papierosy to zbytek, ale kilka sportów... Zaczęła pani Leokadia palić zaraz po drugim porodzie, gdy urodziła się Irena.
— Wtedy mieszkaliśmy na Krącowej, w czwórkę

Roman Głębocki i Eugeniusz Bandzul stawiają ścianę zewnętrzną w pierwszym w łomży ośmiopiętrowcu.



Chłopcy w niebieskich mundurach

Za piętnaście zstąpi na dwóch piętach hotelu białostockiego Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych Budownictwa w Łomży przy ul. Wesołej rozległa się codziennie okrzyk dyżurnego — po-budka-a-a. Ruch w pokojach, śniadanie w położonej w suterenie stołówce i wymarsz do pracy. O wpół do szesnastej — powrót. Obiad, zajęcia w sekcjach, nauka. Godzina dwudziesta druga — cisza nocna.
Hufiec 22-3 OHP. Ramowy, niezmienny program dnia. Niebieskie mundury. Dyscyplina prawie wojskowa.

Stu junaków w ramach stacjonarnego hufca pracy odbywa przeszkolenie wojskowe i zdobywa zawód budowlanego. Pracują w Łomżyńskim Przedsiębior-

stwie Budowlanym przy wznoszeniu osiedla „Jantar” na poligonie OWT, na-wet w Katowicach.

Dwa lata pobytu w hufcu wytęczyli nową drogę ich życia. Na wieś wrócić tylko niektórzy, zdecydowana większość już wybrała miasto. O tym, czy zostaną na budowach ŁPB jeszcze nie wiedzą. Ci, którzy pracowali w Katowicach, porównują oferty. Teraz, w hufcu, mieszkać luksusowo, w dwu- trzyosobowych pokojach z łazienką, radiem. A później? Pozostanie w hotelu to uszczuplenie zarobków o 1500 zł, wynagrodzenie pokoju prywatnie też drogi wydatek. Własne mieszkanie — odległa perspektywa. Więc może szukać będą swego losu na Śląsku. ŁPB ze swej strony zapewnia, że zrobi wszystko by ich zatrzymać. (Jtb)



Sportowcy łomżyńskie-go OHP Ireneusz Kowalczyk i Andrzej Ładziński wraz z kolegami wyruszają na trening przygotowujący się do Ogólnopolskich Igrzysk Zimowych w Szczyrku. Fot. Gabor Lorinczy

Z zagranicy

ZAPISKI Z RUMUNII (3)

Wczoraj i dziś

Maciej Strykowski, żyjący za panowania Stefana Batorego, autor dzieła „Która przedtem nigdy światła nie widziała, kronika polska, litewska, żmudzka i wszystkich Rusi: kijowskiej, moskiewskiej, siewierskiej, wojnickiej, podolskiej, podgórskiej, podlaskiej etc. i rozmaite królestwa...” etc, etc, o którym pisze Ignacy Chrzanowski przypadek...
W swojej „Historii literatury niepodległej Polski”, że był w jednej osobie bardzo szanowanym człowiekiem i niezmiennie śmieszna figura, odtąd ten Strykowski o mieście Vaslui również wspomina. Kiedy parę lat temu obchodzono 600-lecie istnienia Vaslui, w okolicznościowych wydawnictwach znalazły się wzmianki o Strykowski. Polski autor obliczył bowiem wiek miasta i ta rachuba jest ważna do dziś.

O d imć pana Macieja zaczyna również sekretarz propagandy miejscowego komitetu partii, kiedy charakteryzuje przeszłość województwa. Mówi o bitwach Stefana Wielkiego z wojskami tureckimi i jego dyplomatycznym sprycie, o pracach Aleksandra Cuzi dookoła zjednoczenia Rumunii (nawiasem, przed paroma laty ukazała się polski staraniem „Ossolineum” monografia poświęcona tej wybitnej postaci) i kończy, że jednak osłabienie nie miało Mołdawia w przeszłości warunków do rozwoju. W 1938 r. na terenie obecnego województwa Vaslui było tylko parę małych cegielni, trochę młynów i tartaków.

Produkcja miejscowego przemysłu nie przekraczała 100 mln lei. Na wsi szerzyła się gruźlica, dżynteria i pelagra. Zresztą, bieda rumuńska była przed wojną nieomal przysłowiowa. Również w latach wojennych północno-wschodni kraj Rumunii musiał czekać na kolejkę do cywilizacji. Wyrażony postępowo widok dołdier o dziesięć lat, czyli reformy administracyjnej. Z reformy wiąże się bowiem praktyczne stosowanie doktryny o równomiernym rozwoju wszystkich regionów. Wypływa ona z generalnej przesłanki, że równość polega na równym uczestnictwie w produkcji.

Oczywiście, trzeba iść na różne kompromisy, stąd też o lokalizacji inwestycji decyduje również rachunek ekonomiczny i różne względy społeczne. Jednak na terenie rolniczego województwa Vaslui rozbudowie się przemysł ciężki i chemiczny, np. powstała wytwórnia włókien poliestrowych i mas plastycznych, w planie jest ponadto fabryka farb i lakierów. W tej pieciolitek przeznaczona się na inwestycje 14 mln lei. Kłopot tylko w tym, czy wystarczy „mocy przerobowych”. Wykwalifikowanych fachowców, zwłaszcza budowlanych, brakuje do innych rejonów kraju w poszukiwaniu lepszego zarobku.

Czy polityka równo-nasyceńca przemysłem jest wylp-niem najlepszym, to kwestia nieco dyskusyjna. Zyskiem jest na pewno szansa rozwoju dla zapóźnionych miast, minusem mniejsza efektywność inwestycji lokowanych w terenie bez tradycji przemysłowych, a zwłaszcza niższa jakość produkcji. Również względy naturalnego środowiska. Wystarczy przejechać z Mołdawii do Transylwanii. Smutno się ro-

bi, kiedy ogląda się piękne krajobrazy karpaccie zeszczone przez przemysł. Jednym z nowszych zakładów w Vaslui jest przedziałnia wyrabiająca surowiec do produkcji trykotaży. Zakład nie jest wielki, zatrudnia tysiąc pracowników, ale trwa rozbudowa i za parę lat załoga powiększy się kilkakrotnie. Większość tu pracujących — ok. 85 proc. — stanowią kobiety, więc komitetem zakładowym kieruje również kobieta, zgodnie z regułą przyjętą w całej Rumunii.

Czym zajmuje się na co dzień? W pierwszym rzędzie produkcja i dyscyplina pracy, choć sprawy bytowe założy również pochłaniają wiele czasu. Największą trudnością jest zwłaszcza z mieszkaniami i trzeba młodym dziewczynom z okolicznych wsi, które podejmują w przedziałni pracę, zapewnić w Vaslui jakiś kat. W mieście buduje się co prawda ponad tysiąc mieszkań rocznie, ale rozbudowa przemysłu z jednej a wieleletnie zaniechania z drugiej strony dają o sobie znać. Na marginesie: mieszkania w Rumunii są relatywnie droższe niż u nas, zarówno w układ mieszkaniowy jak i czynsz.

Ważną sprawą w pracy administracji zakładu i czynników społecznych jest ponadto edukacja załogi. Obecna pięciolatka została ogłoszona pięciolatką rewalucji naukowo-technicznej, stąd też wyznaczono cel: każdy pracownik powinien mieć ukończoną przynajmniej zasadniczą szkołę zawodową.

Dyrektor techniczny przedziałni pokazuje jedno ze swoich usprawień, rzecz ciekawą bo mogącą znaleźć zastosowanie w każdej fabryce włókienniczej. Jest to wózek na przódzie. Jeździ po szynach wzdłuż maszyny obróbkowej. Do skrzyni na cewki przymocowano krzesło i pracownica nie musi, jak w systemie tradycyjnym, biegać przez cały dzień dookoła maszyny. Dzięki temu wydajność, jak zapewnia dyrektor, wzrosła o 10 procent.

IRENEUSZ CHOROSZUCHA

Bogdan Suplicki i Stanisław Zaremba sprzątają korytarz, bo wiedzą że nikt za nich tego nie zrobi.



17 lutego ukazał się w naszej gazecie artykuł prof. dr hab. Tadeusza Wierzbickiego z Politechniki Białostockiej, w którym autor, omawiając program zagospodarowania Wisły, umieścił parę uwag o Narwi. O Narwi, konkretnie zaś o pracach melioracyjnych w dolinie rzeki, jest coraz głośniejszy. Były publikacje m.in. w „Życiu Warszawy”, „Chłopskiej Drodze”. W artykułach tych ocenia się zakończoną już regulację Górnej Narwi na odcinku od ujścia Biebrzy do Żółteń, i to ocenia często krytycznie. Jak wygląda sytuacja obecnie?

Meliorować, ale jak?

(Artykuł dyskusyjny)

Melioranci zbliżyli się już do Rzędzian. Drugi etap przewiduje regulację do boku i najbardziej pierwotnego fragmentu. Na razie jest tu pełna egotyka. W 1977 roku Centralne Biuro Studiów i Projektów Wodnych Melioracji i Zaopatrzenia Rolnictwa w Wodę „Bipromel” w Warszawie przedstawiło projekt prac melioracyjnych. Projekt ten został przez służbę ochrony przyrody zakwestionowany.

miasteczka, używa się sfornuowania — „jedyny w swoim rodzaju krajobraz nadnarwiński nie może ulec żadnym istotnym odkształceniom”. Już wówczas jednak to twierdzenie brzmiało eokolwiek śmiesznie.

Jest bowiem drugi rok regulacji gólny. Już wiadomo, że samowolnie zostały zmienione granice „rezerwatów” (tak będziemy dla uproszczenia nazywali „obszar chronionego krajobrazu”). Tam, gdzie miały być bagna i rozlewiska, są o-

watu. Rezerwat jest im nie na rękę: nie będzie melioracji, nie można na większą skalę wypasać bydła. Konflikt latwo dałoby się przecieć rozwiązaniem. Po prostu wystarczająco prywatne łaki w rezerwacie wykupił. Rozwiązanie to stosowano zresztą, ale tylko wówczas, gdy chłopskie grunty potrzebne były meliorantom.

Latem 1977 roku również wzbuchała w rezerwacie pożary. Płoną gniazda z piskietami, giną jaszczurki, węże i saja-

ca. Rezerwat jest im nie na rękę: nie będzie melioracji, nie można na większą skalę wypasać bydła. Konflikt latwo dałoby się przecieć rozwiązaniem. Po prostu wystarczająco prywatne łaki w rezerwacie wykupił. Rozwiązanie to stosowano zresztą, ale tylko wówczas, gdy chłopskie grunty potrzebne były meliorantom.

W 1975 roku otwarto jaz w Tykocinie. I znowu podniósł się szum. Najpierw, jak postulowali przyrodnicy, powinien powstać jaz we wsi Góra (przed rezerwatem). Jaz w Górze miał piętrzyć rzekę, a potem jej wody kierowałyby się do rezerwatu. Obiekt nie jest ukończony do dziś. Zle zaprojektowano i wykonano wiele przepustów na drogach, ale funkcjonują jazy w Tykocinie i Strękowej Górze. W Tykocinie wysychają studnie, obychają fundamenty z żytowych budowli.

Północną granicę rezerwatu stanowi rów melioracyjny. Zgodnie ze wskazówkami Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Białymstoku powinien to być tzw. doprowadzalnik. Jest inaczej — rów odprowadza wodę z rezerwatu na łaki. Zle wykonano też obwałowania rzeki. Usypano je z piasku i praktycznie nie umocniono. Przez te groble woda z rezerwatu przecieka do Narwi bez żadnych przeszkód.

Starorzeczna w rezerwacie wysychi. Wzgórki zamienią się w lotne wydmy. Miejsce szuwarów zajęją łopiny. Z okolic Tykocina krężyłaby masowo unikalne ptaki, m.in. żurawie i białogłazy. Nie przylatują już nawet kaczki.

Okolica dzięki przyrodzie, zwana powszechnie „Płasiem Rajem” jest wspomnieniem. W całej tej sprawie bolesna jest również absolutna beznadzieja białostockich przyrodników. Przecież protestowali kiedy i gdzie się dało. Monitorowano nawet ministerstwa. Rezerwat rolnictwa, pilotujący bądź co bądź miliardowe wartości inwestycji, ani razu nie skontrolował przebiegu prac. O

Ciąg dalszy na str. 4

Od 1 kwietnia — czas letni

Zgodnie z zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów — 1 kwietnia br. w całym kraju wprowadzony będzie czas letni. Przesunięcia wskazówek zegara o jedną godzinę do przodu dokonamy punktualnie o 1.00 w nocy. Od tej pory obowiązować będzie w Polsce czas wchodnieuropejski. Do czasu zimowego (średnioczerwcowego) wrócimy 30 września br. i wówczas o godzinie 2.00 cofniemy wskazówki zegarów o jedną godzinę.

Wprowadzenie czasu letniego ma istotne znaczenie zwłaszcza dla energetyki. Jak wykazały doświadczenia z poprzednich lat, uzyskujemy dzięki temu znaczne oszczędności energetyczne. Zmniejsza się szczytowe zapotrzebowanie na prąd, a wskutek tego energetyka zyskuje również możliwości bardziej elastycznego organizowania kampanii remontowej. To ostatnie jest bardzo ważne ze względu na konieczność właściwego przygotowania elektrowni i elektrowni do pracy w okresie następnego szczytu jesienno-zimowego.

(PAP)

Najniższa w kraju umieralność niemowląt

Wśród krajów, które z umieralnością niemowląt uporały się jako z problemem, przoduje Szwecja. W Szwecji i pozostałych krajach skandynawskich, a także Holandii i Japonii, na jeden tysiąc żywych urodzeń przypada 8—10 zgonów niemowląt.

Łapach mówi się, że mają szwedzki wskaźnik: w 1977 roku w tutejszym ZOZ-ie na jeden tysiąc żywo urodzonych zmarło 11,8 niemowlaków, w tym samym okresie w kraju nie wyżyło 24,5, w województwie 21,4 nowo narodzonych dzieci. Łapski współczynnik był najniższy w kraju. Żeby nie było podejrzane o szczęśliwy dla Łap zbieg okoliczności uzupełnijmy, że w 1976 r. miejscowy ZOZ notował ten sam współczynnik w wysokości 13 promile (województwo 22,7, kraj 24), zaś w pierwszym półroczu ubiegłego roku — 12,7 (województwo 22,1, kraj 24). W drugim półroczu ubiegłego roku — chociaż nie ma jeszcze dokładnych wycień — wiadomo, że Łapy znów będą na czele, mimo że utrzymanie się u góry statystycznej tabeli jest dla takiego ZOZ jak łapski znacznie trudniejsze. Biorąc jako zespół ze stosunkowo małą liczbą podopiecznych notuje też niewielką w porównaniu do innych liczbę urodzeń, więc każdy zgon noworodka jest tu wskaźnikiem bardziej obciążającym.

Jeśli nie przypadek, to co zadecydowało o łapskim powodzeniu w opiece nad noworodkami? Doktor **Stefania Roman** — dyrektorka miejscowego Zespołu Opieki Zdrowotnej wylicza kilka czynników.

Nie ma co się łudzić, dobra praca wymaga warunków, wtedy zwierchnik śmieje się stawia wyższe wymagania, a podwładni łatwiej się z nich wywiązują. Wciąż batalie o lepsze można było w Łapach zaczynać w marcu 1973 roku wraz z oddaniem do użytku nowego szpitala i tym samym oddziałów noworodkowego i dziecięcego. Stary szpital miał jedynie internę i ginekologię z położnictwem.

Przekazanie szpitala zbiegło się szczęśliwie z powstaniem zespołu opieki zdrowotnej, których intencją była integracja lecznictwa otwartego z zamkniętym i pomocą doraźną. Dla ordynatorów oddziałów szpitalnych integracja znaczyła m. in. odpowiedzialność nie tylko za oddział, ale za pracę całego pionu specjalistycznego w ZOZ-ie, a więc za kwalifikacje lekarzy wiejskich, gminnych czy rejonowych. Przedtem bywało tak, że w rejonach latami pracowali lekarze bez specjalizacji, bo albo obciążeni pracą nie mieli na nią czasu, albo nikt jej tak bardzo o nich nie wymagał. W nowym modelu nastąpiła możliwość rotacji lekarzy: rok — pół roku w rejonie, potem szkolenie i specjalizacja na oddziale.

Praca w rejonie stała się preferowaną finansowo, więc znaleźli się chętni i do zatrudnienia i specjalizacji. W pionie pediatrycznym znacznie łatwiej było ten stan usankcjonować,

bowiem w Łapach — ze względu na dziecko jako szczególny przedmiot opieki — już wcześniej przed powstaniem ZOZ-u ordynator oddziału czuwał nad całością swojej specjalizacji w terenie. Dobry nawyk, dobre warunki, dobrze dobrani ludzie — wszystko to zaczęło szybciej procentować. Korzystne warunki pracy w nowym szpitalu, bliskość Białogostu,

kami. Ordynator **Jadwiga Lewicka** twierdzi, że takich skarbów: starannie, młodych pielęgniarek jak na oddziałach dziecięcym i noworodkowym długo by szukać. Wyszukano je w miejscowym Liceum Pielęgniarskim. Dziewczęta przychodzą tu na praktyki, obserwując się, ile która warta i najlepsze zatrudnia.

Liceum powstało z inicjatywy ZOZ-u. Była taka potrzeba, znaleziono lokal, zapewniono własnych wykładowców. Najmłodsi powinni uczyć się najwięcej — według tej reguły, zaproponowano szpitalnych lekarzy — nauczycieli i nauczycielki — pielęgniarki też. Inaczej za 40 zł na godzinie nie każdy by się zgodził. Z liceum wyszły już trzy roczniki, takim sposobem w Łapach nie brakuje pielęgniarek.

Bez nich i bez salowych, które i nakarmić i przewieźć potrafią, lekarze na noworodkowym i dziecięcym za-

W niedawnym numerze „Polityki” Dariusz Fikus omawiając badania ankietowe GUS sprzed trzech lat dotyczące społecznych aspektów umieralności niemowląt, uzależnia umieralność od statusu społecznego rodziny. Badania wykazały, że w grupie matek do lat 40 z wykształceniem wyższym, zgony niemowląt były najniższe, wzrastały w miarę obniżania się poziomu wiedzy matki. Wniosek z tego, że higiena ciąży, świadomość i możliwość zapewnienia dziecku należytej opieki odgrywały wcale nieposłuszną rolę. Dlatego też w Łapach matki odbierające noworodki z oddziału uświadamiane są, jak dziecko pielęgnować, żywić, przewijać. Informacje są do tego stopnia szczegółowe, że na przykład opracowane przepisy na mieszanki czy zupki odbija się w postaci stempli w książeczce dziecka. Niby drobiazg, a jak ułatwia matce, zwłaszcza pierwszemu dziecku, właściwą nad nim opiekę. Pożytek z tego taki, że maluchy rzadziej niż gdzie indziej wracają do szpitala z biegunkami czy bólem brzuszka.

Każdy noworodek wypisywany z oddziału bywa dokładnie badany. Posiewy wysyła się do Wojewódzkiej Stacji Sanepid. Przychodzi odpowiedź i wiadomo: jest czy nie jest nosicielem jakiejś bakterii, jeśli tak — na co ta bakteria jest uczulona, czym można ją zniszczyć. Gdyby się zdarzyło, że malenstwo wraca do szpitala, lekarze wszystko już o nim wiedzą. I chociaż często wraca jedno na sto urodzonych, to nie można powiedzieć, że są to badania na próżno.

Łapscy pediatrzy chwalą współpracę z Wojewódzką Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną, odpowiedzi na wysyłane badania dostają prawie natychmiast, tego samego dnia jeszcze. W razie wykrycia infekcji, zakażony noworodek jest automatycznie izolowany, żeby nie dopuścić do zakażeń wewnątrzszpitalnych. Praktykowanie natychmiastowej izolacji jest jedną z metod powodzenia w zwalczaniu zakażeń, które często są nieuchronne, bo biorą się też z infekcji matek. W każdym razie im mniej zakażeń tym mniejsze niebezpieczeństwo zgonów niemowląt. Powołany w Łapach zespół do zwalczania infekcji wewnątrzszpitalnych stał się modelem dla całego województwa. Wechodzący w jego skład ordynatorzy zapewniają wymianę doświadczeń między oddziałami. Dla przykładu, jeśli na jednym oddziale zdaje egzamin okresowa zmiana płynu do dezynfekcji sprzętów, po to by bakterie nie zdążyły się przyzwyczaić, to wiadomo, że warto ten zwyczaj upowszechnić wszędzie. I tak w Łapach jest. Z kolei bardzo szczegółowe ankiety dla pacjentów każdego oddziału pozwalają analizować sytuację i wyciągać wnioski na temat, dlaczego w tym i tym okresie i tu i tu pojawiają się zakażenia.

Przykład idzie z góry — pediatrzy chwalą zaangażowanie pani dyrektorki Roman. Chwalą rodzinną atmosferę w szpitalu i ZOZ-ie, a jasne jest, że zgodnie łatwiej pracować. I to także jest przyczynek do sukcesów w opiece nad niemowlakami.

IRENA BIERNACKA

W Łapach po szwedzku

ku przyciągnęli lekarzy, możliwość specjalizacji, preferencje placowe, dla tych, którzy byli najbardziej potrzebni — ustabilizowały kadre. I o to obecna sytuacja w łapskiej pediatryce: na 10 lekarzy zajmujących się dziećmi — dwóch jest z drugim stopniem specjalizacji, sześciu — z pierwszym, jeden w trakcie specjalizacji i jeden stażysta. Cała szóstka z „jedynką” — to niedawni stażyści. Zdał specjalizację i zostali.

Lekarz nie uczy się dla siebie, więcej umie, skutecznie pomaga pacjentowi — wyznając taką zasadę, dyrektor **Stefania Roman** przez cały czas zachęca do specjalizacji. Zdając „jedynkę”, dostaniesz cztery grupy do przodu — wszystko jest jasne i finansowo i stanowiskowo awansuje ten, kto podnosi swoje kwalifikacje. Tak jest we wszystkich pionach, nie tylko w pediatryce.

W pediatryce — jeśli wyliczać to wszystko, co zadecydowało o skutecznej opiece nad niemowlętami — to oprócz kadry i bazy nie sposób pominąć profilaktyki. Przy czym mówię o kadrach, mniej więcej na równi z dobrymi, kwalifikowanymi lekarzami trzeba stawiać zaangażowane pielęgniarki i salowe. Prawda jest taka: dobra opieka pielęgnarska gwarantuje połowę sukcesu w leczeniu. Tymczasem stereotyp najczęstszemu bywa inny: pielęgniarka pracuje, lekarzowi ścisła się dłoń. Wciąż, żeby nadać rangę pielęgniarce i salowej gratyfikuje się w Łapach ich dobrą pracę stosunkowo wysokimi podwyż-

pracowali by się na śmierć. Skąd tak dobre salowe, jeśli gdzie indziej i słabiej brakuje? Bardzo proste: niezależnie od rodzaju każda dobrze wykonywana praca powinna być ceniona, wobec powyższego doktor **Stefania Roman** premiując dobrą robotę salowych dodatkami równymi często lekarskim. To zobowiązuje kobiety do dyscypliny i solidności, a także stabilizuje w miejscu pracy.

*

Ledwie zaczął się popołudniowy dyżur, w izbie przyjęć oddziału dziecięcego już czeka matka z dzieckiem. Od czterech lat wszystkie matki wiedzą, że jeśli trzeba, po godzinach pracy ośrodków zdrowia i przychodni rejonowych, mogą przyjść po poradę tu, do szpitalnego dyżurnego pediatry: bez skierowania, bez wzywania karetki. W ten sposób w łapskim ZOZ-ie tanim kosztem stworzono całodobową opiekę pediatryczną, włączając w to możliwość wykonywania badań w szpitalnym laboratorium czynnym do godziny 21. I to jest jeden z kierunków profilaktyki. Profilaktyce służą także ułatwienia w konsultacjach specjalistycznych. Obowiązek konsultacji w swoim pionie mają ordynatorzy wszystkich oddziałów, ciekawe jest, że nie w określonych godzinach, ale w ramach zatrudnienia: jeśli do dr **Lewickiej** na przykład przyjdzie matka z dzieckiem o godzinie 9, nie będzie czekała na wyznaczony termin, jeśli już, to na zakończenie obchodu.

Do następnej niedzieli w PSK

ODWIEDZANIE CHOROBYCH
WYŁĄCZNIE W NIEDZIELĘ I ŚWIĘTA
W GODZINACH 11-13
POCZĄSZY OD DNIA 28.1.78.

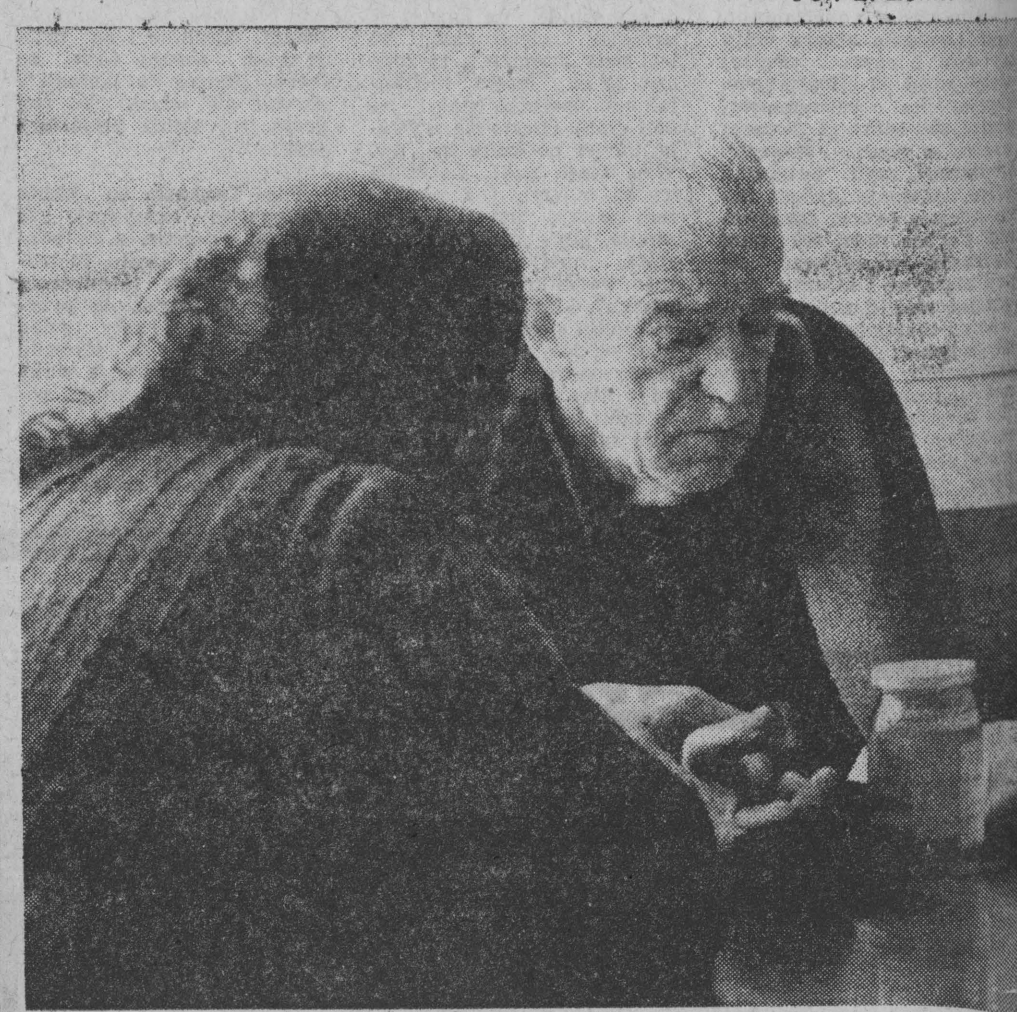
Niedziela, wreszcie są. Z rodziny kilka osób, koleżanka z pracy, nawet sąsiad się zjawił. Jak to mity.

— Co słychać w domu, w robocie, jak zimą radzicie?

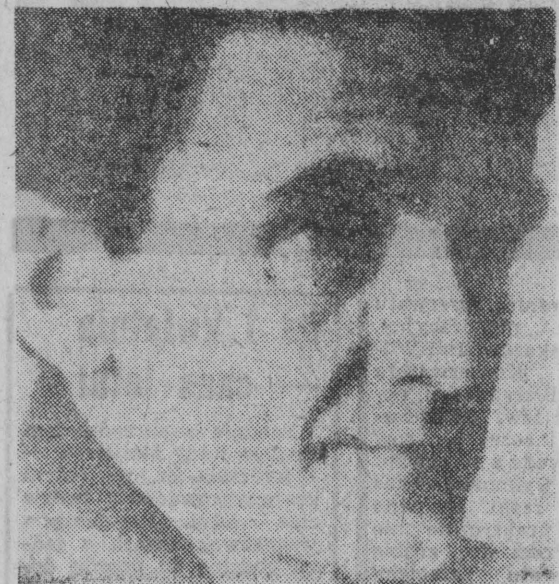
— Świetnie wyglądam, za kilka dni wyjdzie, zobaczysz. U nas...

Potoczyła się rozmowa. Tyle spraw chorego interesuje. Każde sobie opowiadać i opowiadać. Dzięki za kompoty, ciasto. Kwiaty zaraz wstawi do stoika.

Ala co to, już dwie godziny minęły? Niemożliwe. Dopiero zaczęliśmy. Siostro, jeszcze trochę. Do następnej niedzieli... (o) **Fot. Z. Lenkiewicz**



List do nieznanego przyjaciela



Doc. dr hab. **Marcin Czerwiński**, socjolog i publicysta, od 14 lat pracownik Polskiej Akademii Nauk, ostatecznie kieruje Zakładem Badań nad Stylami Życia w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autor licznych publikacji: „Przemiany obyczajów”, „Upowszechnienie kultury a struktura społeczna”, „Lekcja włoska”, „Magia, mit i fikcja”, „Telewizja wobec kultury”, „Kultura i jej badanie”, „Życie po miejsku”, „System książki”, „Okiem przechodnia”, „Implikacja pojęcia stylu życia” (w pracy zbiorowej), „Elementy stylu życia ludności miast w Polsce” (w pracy zbiorowej), „Samotność sztuki”, „Profile kultury”. Nadto — przekłady z literatury naukowej i esejistyki włoskiej i francuskiej.

dzielał się wśród przyjaciół i w jego postawie nie było ani fałszu, ani kokieterii. Ukształtował się w czasach, kiedy środki przekazu nie były jeszcze tak agresywne, nie dążył więc się z nimi oswoić, a może i nie chciał korzystać z ich usług.

Znam malarzy, którzy odchodzą z wystaw, bo jest w tym coś z jarmarku. Dla nich wernisaż jest katorgą, wydarzeniem zbyt konwencjonalnym, w którym momenty towarzyskie dominują nad artystycznymi przeżyciami. Publiczność stoi tułem do obrazów, plotkując przy winie. Pamiętam artystę, który wybiegł z własnego wernisażu z jękiem wołając: „po co ja wpuściłem tę bandę”, która zresztą tworzyła jego życiową przyjaciółkę.

— Co zatem powstaje — czy interesy obu stron są — czy kiedykolwiek?

— Współcześnie nie jest możliwy taki stan świadomości, jak przed stuleciem, kiedy to członek światłej polskiej elity mógł powiedzieć, że o to ma sztukę wyrażającą jego świat, jego kraj społeczny. Ta sytuacja jest dziś nie do pomyślenia, sztuka to jest układ zbudowany ze zbyt różnych elementów; wspomnijmy mimochodem o konceptualizacji, który w ogóle zlikwidował dzieło. Ich „sztuka bez malowania” aranżuje przedmioty, ale też może i z tego zrezygnować. Przeciwnie artystyczne widła ma pobudzać ogłódzonego przedmiotów, nie porostających w stosunku do siebie w żadnych relacjach przestrzennych.

Nie można tracić z oczu faktu, że świat przedstawień wizualnych, w którym żyjemy, nie ogranicza się tylko do malarstwa. Nasza codziennność potrzebuje przedstawiania wydarzeń i te role spełniają wizerunki odczytywane na drodze mechanicznej bez udziału inwencji, fantazji i wyobraźni fotografa. Telewizja tylko pomnożyła okazje i możliwości. Czy się ktoś zgadza z tym, czy nie — to wszystko jednak bardzo ważny w malarstwie. O tym kontekście, w którym funkcjonuje dzieło malarstwa, obecnie, trzeba pamiętać, urasdadniając niemożliwość powrotu do związków sztuki — odbiorcy sprzed stulecia.

— Dzielę się z rozmową. Rozmawiała: **DANUTA GUDEBSKA**. P.S. Doc. Marcin Czerwiński spotka się z biurotocią publicystyczną w poniedziałek, 26 lutego o godz. 18 w kawiarni „Domu Prasy przy ul. Wesolowskiego 1.



Meliorować, ale jak?

(Artykuł dyskusyjny)

Ciąg dalszy ze str. 3

tym, co dzieje się w okolicach Tykocina, informowane również Naczelnego Konserwatora Przyrody. Konserwator, który tak powściągliwie i skrycie głosi wzniosłe hasła ochrony przyrody, tym razem milczał jak grób.

Włodzimierz Mironiuk z Ośrodka Badań Naukowych i Kontroli Środowiska w Białymstoku zdecydował się na wyprawę do Najwyższej Izby Kontroli. Dotąd nie otrzymał odpowiedzi. Ta skarga zaznała się tylko, tym, że musiał odejść (ciężkie — na czyje polecenie!) z zespołu naukowego przy AMB, który prowadzi badania hydrochemiczne Narwi. Po prostu: im skarżył się, tym mniej go lubił (Komu lepiej!).

Ochrona przyrody, jak widzimy, to nie jest łatwa sprawa. Cieszy jednak, że opinie przyrodników są przez władze wojewódzkie traktowane coraz poważniej.

Co zatem z doliną Narwi między Rzedzianami a Suratem? Niektórzy bronią jej z pozycji gospodarza: że ryby, że „Herbapol” pozyskuje stąd ziło, które potem eksportuje, że strzela się tutaj dewizowo łosie. Można wyciągać i te argumenty ale niekoniecznie. O to nadnarwiańskie bagno są unikalne w polskiej przyrodzie. I wszystko. I wystarczy.

Jak się rzekło, projekt „Bipromelu”, nawet jego trzeci wariant, który przewiduje dość nowatorską metodę melioracji polderowych (obwałowane łaki wzdłuż koryta rzeki) — nie został zaakceptowany. Przyrodnicy obawiają się, że melioranci zostawiają tylko skrawki naturalnej przyrody. Czy poldery nie naruszają równowagi środowiska? — obawiają się może przedwcześnie.

Te wszystkie wątpliwości — jak ustalono ostatecznie — rozstrzygnąć mają badania naukowe. Na dwa najbliższe lata rozlewności oddano, rzecz mówiąc, w ręce naukowców. Dopie-

ro oni zdecydują, co zrobić z doliną. I słusznie.

Ustalono też, że powstanie doświadczalny polder. Aktualny spór dotyczy właśnie tego — gdzie go umiejscowić?

Przyrodnicy sugerują, żeby polder zlokalizować w pobliżu Łap.

W Łapach jest cukrownia, która wydala średnio 10 tys. m sześć. ścieków na dobę. Oczyszczalnia w zakładzie jest zbyt mała — i mimo ostatnich modernizacji — ścieki mogą być tu tylko wstępnie neutralizowane, potem trafiają do Narwi. W 1977 roku cukrownia znalazła się na piątym miejscu wśród najbardziej uciążliwych dla środowiska przedsiębiorstw w kraju. Zakład płaci rocznie siedem milionów złotych kar umownych.

Tymczasem ścieki z cukrowni dają się wykorzystywać. W Polsce czyniono takie próby, wykorzystując osady z cukrowni w Unisławiu. Na szer-

szą skalę stosuje się nawożenie gleb osadami cukrowniczymi w RFN i w Ukrainie.

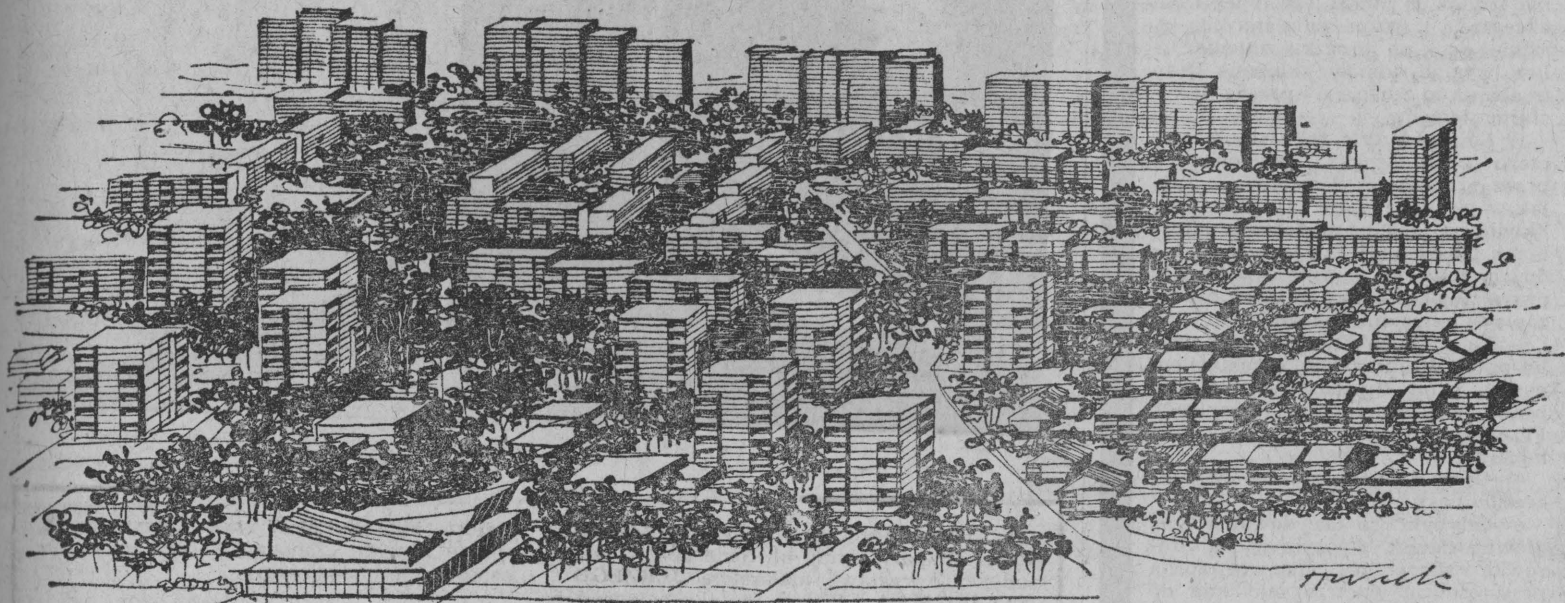
Czy rolnicze wykorzystanie ścieków z cukrowni w Łapach jest możliwe? Na pewno, ale jakie byłoby koszty? Ekspertymentujemy! — mówią przyrodnicy.

Melioranci, czyli Instytut Melioracji i Użytków Zieleni w Warszawie, „Bipromel” (projektant) i Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych w Białymstoku (inwestor) proponują zlokalizować polder w okolicach Bokin. Jest to chytro propozycja: przecież nie ma jeszcze wyników badań, więc nie wiadomo, czy koncepcja melioracji polderowej jest słuszna, a tu proste — polder akurat w środku rozlewności. Czy tej propozycji nie trzeba traktować jako polityki faktów dokonanych?

Decyzja o lokalizacji polderu jeszcze nie zapadła.

ANDRZEJ RÓŻAŁSKI

DZIELNICA PRZYSZŁOŚCI



Fragment projektowanego osiedla.

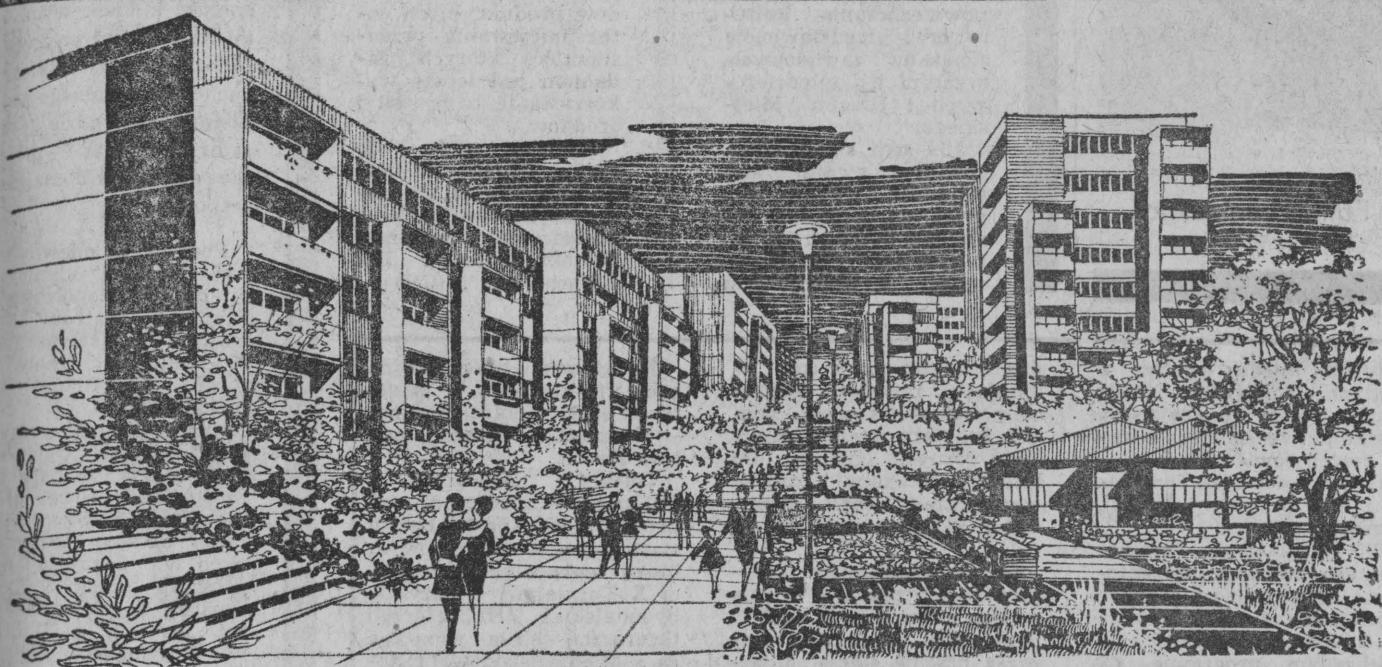
W zgodzie z rytmem przyrody

W konkursie na projekt osiedla mieszkaniowego zlokalizowanego na zachodnich peryferiach Białegostoku zwyciężył zespół Jana Cifko i Janusza Dmowskiego z białostockiego „Inwestprojektu”. Rozmawiam z głównym projektantem dzielnicy „Zachód”, architektem Janem Cifko.

„GW”: — Co zdecydowało o Waszym zwycięstwie?
Jan Cifko: — Postanowiliśmy idealnie wpasować zabudowę w bogatą konfigurację terenu. Zerwaliśmy z dotychczasową praktyką narzucającą przez budowlanych, że osiedle może być budowane tylko w płaskim, zniwelowanym terenie, dla ułatwienia pracy dźwigów. Osiedle „Piasta” jest tu najlepszym przykładem do jakich porażek to doprowadza. My na spadkach skarp projektujemy wysokie podpiwniczenia z przeznaczaniem ich na kluby, świetlice i punkty usługowe.
Im dalej na zachód, tym teren wznosi się wyżej i do tego naturalnego ukształtowania dostosowaliśmy wysokość zabudowy. Od ul. Helmańskiej zaczynamy osiedle niskimi domkami atrialnymi, dalej stają dwukondygnacyjne domki szeregowe, następnie małe budynki mieszkalne o trzech kondygnacjach, wreszcie bloki wielorodzinne pięcioletnie. Od zachodu do wschodu jednostka „A” zamknięta grupą wieżowców 11-kondygnacyjnych. Projektujemy gęste zieleń w każdym możliwym miejscu. Szkoda, że tak mało drzew rośnie tam obecnie. Trzeba wiele czasu, żeby wyrosły nowe.
„GW”: — Tak zróżnicowanej zabudowy nie ma żadne białostockie osiedle. Myślisz, że wielu Czytelników zainteresują bliżej indywidualne domki atrialne.
J.C.: — Wykonane będą w technologii monolitycznej, pomniejsza dużą kuchnię i cztery pokoje, w sumie 95 m kwadr., powierzchnię użytkową. Wewnętrzny dziedzińec o powierzchni 40 m kwadr., w sam raz nadaje się na przedłużenie pokoju dziennego. Domki będą można zabrać na zasadach własnościowych: wkład początkowy ok. 100 tysięcy zł i spłata reszty w ratach — 10 lat.
„GW”: — Na projekcie widać, że wszystkie mieszkania w blokach będą miały duży, ponadnormatywny metraż.

J.C.: — Za główną zasadę przyjęliśmy duże kuchnie, dostosowane powierzchnia do wielkości mieszkania oraz jego pełną rozkładowość, bez pokoi przechodnich. Pokoje dziennie będą miały do 22 m kwadr.
„GW”: — Makieta osiedla wygląda atrakcyjnie. Czy nie obawia się pan roboty budowlanych?
J.C.: — Projektowaliśmy osiedle w technologiach typowych, które białostoccy budowlani powinni już doskonale opanować. Nie obawiam się drobnych usterek i niedoróbek, niepokój budzą natomiast zaproponowane przez „Fadom” — II” faktury płyt prefabrykowanych OWT-75. Gry betonowe nie jest efektywne. Później obiecają nam faktury z mas tynkarskich o intensywnych barwach, ale niezbyt czystych odcieniach. Kolor będzie, ale jakby przybrudzony.
„GW”: — Teren jest tu podmokły, ale po melioracji rzeka Bażantarka i stawy kolejowe mogą stać się zaczątkiem świetnej, naturalnej bazy rekreacyjnej dla całego osiedla.
J.C.: — Całe wschodnie obrzeże osiedla przeznaczaliśmy na rekreację. Boiska szkolne stykać się będą bezpośrednio z łakami, na których powstaną duże pełnowymiarowe stadiony sportowe i szereg mniejszych boisk do gier zespołowych. Okolice stawów zostawimy nie naruszone. Jest tylko jeden problem: przez ten teren biegnie linia energetyczna, trzeba ją schować pod ziemię. Trwają rozmowy, kto ma za to zapłacić.
Wierzę, że to osiedle zostanie zrealizowane wiernie z naszymi projektami. Dotychczasowa praktyka mówi co innego, po prostu pozorne oszczędności powodują powstawanie ponurych, skoszarowanych osiedli. Ze swojej strony zrobiliśmy wszystko, by osiedle było piękne i wygodne, by w nim równie dobrze się mieszkało, jak i wypoczywało.

„GW”: — Dziękuję za rozmowę.



Wszystkie szparki między płytami trzeba dokładnie oczyścić ze śniegu i lodu.
NA ZDJĘCIU: Jan Mróz i Jan Greś.

Budowa już ruszyła

Z daleka widać jedynie dwa dźwigi. Pierwszy blok dopiero się wylał, a spośród zwalów śniegu. Brygada Andrzeja Aurona kończy pierwsze piętro. Na górze przenikliwy wiatr. Złab. Stąd też czapki z nausznikami zamiast przepisowych kasków — usprawiedliwia swoich pracowników kierownik budowy, Aleksander Stepaczko. Dzisiaj trochę słońca, a więc robota idzie sprawnie. Za ścianą można się nawet trochę posunąć. Tylko, że czasu nie ma, bo już operator dźwigu, Mirosław Machal podnosi w górę kolejną płytę. Chwila skupienia i płyta jest już na swoim miejscu.
Teraz trzeba ją dokładnie oczyścić ze śniegu. Wszystkie dyble, to znaczy otwory między płytami, muszą być wol-

ne od śniegu i bryle lodu. A dopiero później można je zapełniać zaprawą.
Teren nierówny — mówi inż. Jerzy Półjanowicz i dlatego nie możemy tu robić jednym dźwigiem, jak to zwykle bywa.
Od soboty drugi operator Jerzy Łazarewicz spogląda z kabiny dźwigu na pustą jeszcze pola, przykryte grubą warstwą śniegu, w które wlebia się już koparka. Przygotowywane są place pod następne dwa budynki. Jednocześnie pracownicy z Zakładu Robot Inżynierskich równają teren, po którym ma przebiegać ulica Lodowa.
Każdy zakątek olbrzymiego placu ma swoje przeznaczenie. Tylko komuś z zewnątrz wydaje się to pole jedynie płaskizna, z wglębieniami i górkami. Jak się budowa rozkręci — zapewni kierownik, półtora budynku na miesiąc będzie montowane. Wykończeniówka też powinna pójść szybko. Płyty OWT-75 są od razu z warstwą izolacyjną, przeciwwilgociową i cieplną.
Dalej trwają roboty przy budynkach gospodarczych — administracyjnych już wykończony. Obok duża stołówka. Jeszcze w stanie surowym, ale już wkrótce stana tu stoły i zapachnie obiadem.
Budowlani zwiastują się z tą budową na 10-15 lat. W ich zawodzie to tak, jakby dostać pracę w fabryce: tyle czasu na jednym miejscu.
Wielka sprawa dla miasta — takie osiedle i dla nas budowlanych — mówi Jerzy Półjanowicz. Gdy będziemy stawiać nowe bloki, w tych wcześniejszych już zamieszkała ludźle i ocenia nasza robotę. Własnymi nazwiskami firmujemy to osiedle.

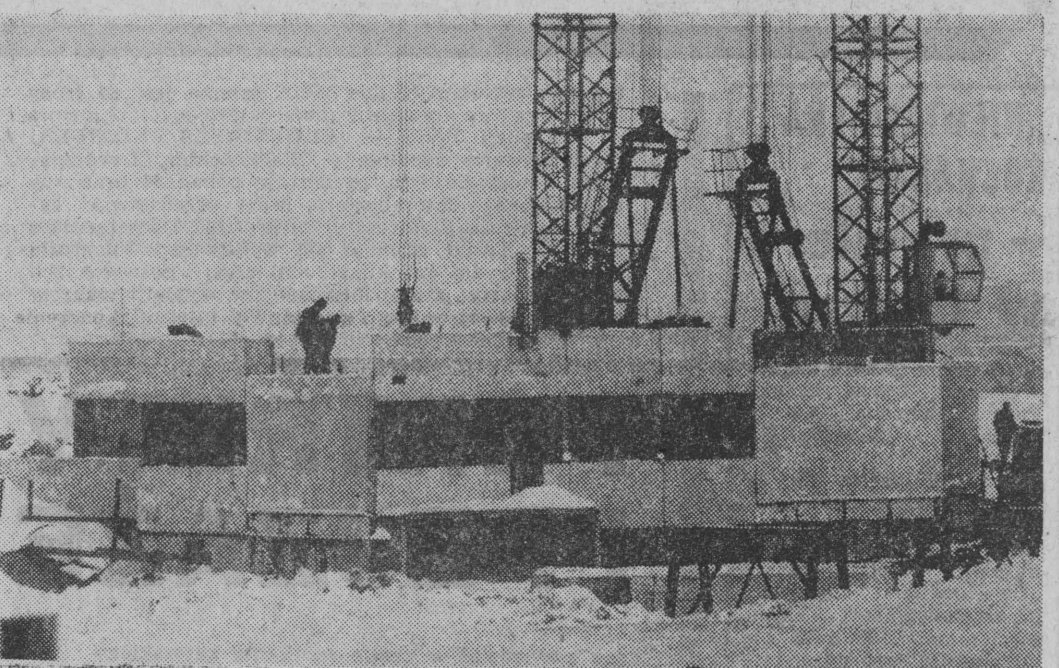
Białostok w ostatnich latach rozbudowuje się zdecydowanie na zachód i północ. Właśnie od północy, mamy na Białostoku dużą dzielnicę przemysłową osadzoną wzdłuż Szosy Północno-Obwodowej. Jest to i będzie przemysł wytwarzający przede wszystkim wyroby rynkowe. Pracując już Fabryki Mebli, w budowie Fabryka Dywanów i zakład podzespołów telewizyjnych „Unitra-Polkolor”, do tego Fabryka Przyrządów i Uchwytów, elektrociepłownia, wiele przedsiębiorstw budowlanych i inżynierskich. Dalej — budujące się osiedle przy ul. Kozłowej, Dziecięciny, Wysoki Stoczek i... doszliśmy do dzielnicy przyszłości.

Pierwsze osiedle - 14 tys. mieszkańców

Małe vademecum

Na roboczo używa się dla niej nazw: „Zachód” lub „Starysiele”. Powstanie ona w trójkącie, jaki tworzą ul. Zwycięstwa, tory kolejowe do Warszawy i od zachodu — tory do Elku. Mówiąc bardziej obrazowo — wierzchołkami trójkąta będą: centralny dworzec kolejowy, skrzyżowanie ul. Zwycięstwa i Hetmańskiej oraz rozjazd kolejowy w kierunku Warszawy, Elku i Hajnówki. W przyszłości zamieszka tu 42 tysiące ludzi. Dzielnica składać się będzie z trzech osiedli mieszkaniowych, zwanych na razie jednostkami „A”, „B” i „C”.
Jednostka „A” powstanie w kwadracie ulic — Zwycięstwa, Hetmańskiej, Szosy do Jezewa i Samotnej, jednostka „B” — na południe od Szosy Jezewskiej i jednostka „C” — na zachód od ul. Samotnej aż do cmentarza.
Realizację jednostki „A” rozpoczęto w 1978 r. Rosną już pierwsze bloki, przygotowano place pod następne, równolegle prowadzą się zbrojenie terenu.
Jeżeli plany zostaną wykonane, to już w końcu bieżącego roku wprowadzą się do bloków pierwsi lokatorzy — 213 rodzin. Do 1980 roku staną tu 22 budynki.
O wszystkim zdecydować jednak ciepło. Budynek stanie na pewno, ale bez ciepła lokatorzy nie będą mogli się wprowadzić. Tymczasem tempo budowy dwukilometrowego odcinka linii ciepłowniczej do jednostki „A” z Osiedla Młodych może budzić obawy. Zadanie jest trudne i będzie wymagało dużej koncentracji sił i środków, energię trzeba bowiem przebiec się pod szerokim nasypem kolejowym oraz przeprowadzić rurociągi specjalną estakadą przez podmokły teren wokół rzeki Bażantarki.

Realizację pozostałej infrastruktury osiedlowej już zapewniono. Gazociąg doprowadzono do ul. Samotnej i Marczukowskiej, a w tym roku rozwinie się go wzdłuż całej ul. Samotnej. Linia elektryczna z rozdzielni na Marczuku dotrze do jednostki „A” pod ziemią. Uzgodniono wykonawcę wodociągu.
Stala od wielu lat bolączką naszych nowych osiedli mieszkaniowych — brak pawilonów usługowo-handlowych — tej dzielnicy chyba nie zagrozi. W wysokich podpiwniczeniach budynków na skarpach lokalizowane będą tymczasowo punkty sprzedaży podstawowych artykułów spożywczych oraz usługi. Później — po oddaniu odpowiednich pawilonów powstaną tam harcówki, świetlice, pracownice. Już w tym roku, jeżeli tylko będzie przydział konstrukcji stalowych, WSS „Społem” zacznie budowę dużego pawilonu handlowego przy Szosie Jezewskiej.
Duże zespoły handlowo-usługowe zaprojektowano na obrzeżach osiedla, tak by z każdego miejsca było blisko do sklepów. Będzie to również dużym udogodnieniem dla transportowców.
Zgodnie z obowiązującą praktyką wszystkie ulice wliczono w koszty budowy osiedla. Z projektów jednoznacznie wynika, że ul. Marczukowska będzie na pewno ulicą ogólnomiejską, również Szosa Jezewska w najbliższej przyszłości wymagać będzie poszerzenia.
Dzielnica zachodnia będzie ostatnią na taką skalę inwestycją mieszkaniową w najbliższych dziesięcioleciach. Budowlanych czeka tu praca na 10-15 lat. Całkowita realizacja pięknych założeń architektonicznych na pewno przyczyni się do powstania osiedla godnego miana wizytówki Białegostoku.



Pierwsze piętro już niedługo zostanie zmontowane.

KONKURS na nazwę osiedla

Redakcja „Gazety Współczesnej” w porozumieniu z Urzędem Miejskim w Białymstoku i Wojewódzką Spółdzielnią Mieszkaniową ogłasza konkurs na nazwę osiedla budowanego w Białymstoku przy Szosie Jezewskiej.
Nowe osiedle zajmie część dzielnicy zwanej „Marczkiem”. Jednakże nazwa „Marczuk” nie oddaje w pełni białostockiej tradycji historycznej. „Marczuk” wiąże się prawdopodobnie z nazwiskiem młynarza, postaci mało znaczącej w dziejach miasta. Dlatego też ogłaszamy konkurs na nową nazwę osiedla.
Oczekujemy propozycji nazw związanych z historią, dniem dzisiejszym i jutrem Białegostoku — wdzięcznych i traf-

nych, sympatycznych i ciepłych, łatwych do zapamiętania i wymówienia.
Wśród autorów najlepszych nazw rozlosujemy 10 premii w bonach PKO o wartości 300 zł każdy, natomiast zwycięzca konkursu otrzyma bon wartości 1.000 zł. Nagrody ufundowali: Urząd Miejski w Białymstoku i Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Zastrzegamy sobie prawo innego podziału nagród.
W konkursie może wziąć udział każdy, nadsyłając na kartce pocztowej dowolną ilość propozycji na adres: 15-950 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. „Gazeta Współczesna”. Dział Reporterski z dopiskiem „Konkurs”, do 31 marca br.
Serdecznie zapraszamy wszystkich Czytelników do wzięcia udziału w naszym konkursie.

Kolumnę opracowali: J. MUSZYŃSKI, A. ZIELIŃSKA, K. ŚWIDER-SKI, H. WILK.

Teraz, gdy najczęściej się mówi, jakie tutaj będzie wielkie osiedle, jakie piękne mieszkania wśród miejscowych ożywiają wspomnienia, stare dzieje tej ulicy.

— Na Marczukowską ludzie przejeżdżali z różnych stron, na przykład żołnierze dostawali po kawku ziemi z nadziałów i gospodarzyli z pokolenia na pokolenie — opowiada Władysław Narek, który od 1919 roku mieszka na Marczukowskiej.

Gospodarz to pełna gęba. Siedemdziesiątowiec chowa, a bywało, że miał i po 130 sztuk. Zawsze myślał, że synowie przejmą po nim gospodarstwo. A tu masz... Już

przychodzili z miasta, spisywali. Wypytywali — gdzie kto chce mieszkać. Tak, że kalkuluje Narek — w innym miejscu chłopcy osiedli z tym inwentarzem i maszynami. Szkoły rolnicze położyli i lubią ziemię. On i żona mogą i do bloku przejść.

Na wiosnę, tak powiadają tutaj, pójdzie już pod rozbiórke dom Łydkowskiej, Kmitów, Supińskiego, Borsuka, Filonowiczowej. A później to chyba po kolei, jak

jest tych dwadzieścia jeden domów na Marczukowskiej. Szkoda. Przed domem nie jedna troskliwa ręka kobieca zrobiła kwietniki, rabaty. Skryte teraz pod gru-

ba puchawa pierzyna. W podwórkach chlewki, letnie kuchnie, a dalej przeważnie ogrody. Warzyw i owoców nikt nie musiał kupować. I swiniaka niejednego swego uchował. Cicho tu, spokojnie, jak na wsi. Chociaż miasto — parę kroków i przystanek.

Znają się na Marczukowskiej wszyscy od urodzenia, z imienia, z nazwiska, o rodzinie każdy szczegółami sypie. Czy w bloku ludzie tak żyć? Najbliżsi sąsiadzi pra-

okien będzie widać. I najważniejsze — znowu będą razem. Już urzędnicy nie powinni ich rozdzielać. Tu drzewa z nimi rosły, chaty starzały. Z Marczukowską

ny dom. Solidny. Wiek by jeszcze stał.

Z podwórza Rydzewskich słychać pracujące koparki, co i raz przejeżdżają cię-

pocznie ze swoimi psami, sześć takich miłych piesków. Czy do bloku pozwolą z nimi? Jakiś dowcipnik radził usnąć w leżnicy. Trzeba nie mieć serca zupełnie.

O młodym Łońskim i jego pocztowych gołębiach pisało nawet w gazecie. Na strychu je trzyma. Pani Józefa pokazuje mieszkanie syna. Cztery pokoje, dwie kuchnie, łazienka, górka prawie wykończona, z bokówkami i dwie podłogi, żeby nie było wilgoci. Ten dom stary Łoński postawił w 1956 roku. W dzień pracował w tartaku, wieczorami w swoim zakładzie szklarskim. I takie życie — kiedy już dobrze, zdawałoby się nie nie brakuje — czas od-

chodzić z tego świata. Pięć lat jak już go nie ma.

Młodzi cieszą się z budowy osiedla. Dostaną nowe mieszkania, z wygodami. Lokatorka Filonowiczowej, Ewa, doczekać się nie może. Ją nie trzyma na Marczukowskiej, przeprowadzka będzie tylko jeszcze jedną zmianą adresu. Ale starzy wzdychają. Każdy żałuje swego kąta, jaki by on był, czy stara chatka, czy nowy dom, ale swoje.
Za kilka lat mało kto wspomni o dawnej Marczukowskiej, Skrajnej, Śnieżnej, Łodowej, Stromej, Lnianej, chociaż te nazwy pozostaną. Dojdą inni ludzie i zaczną swoją historię od nowa.

Drzewa z nimi rosły, chaty starzały...

ba puchawa pierzyna. W podwórkach chlewki, letnie kuchnie, a dalej przeważnie ogrody. Warzyw i owoców nikt nie musiał kupować. I swiniaka niejednego swego uchował. Cicho tu, spokojnie, jak na wsi. Chociaż miasto — parę kroków i przystanek.

Gadał o tym i Olszewski, i Kmita, i Łydkowska. Przynajmniej własne pola z

związała los niejedna rodzina.
Ojciec Kalinowski przyjechał tutaj w trzydziestym czwartym spod Królowego Mostu. Domek postawił. Kawalek chlewka. Tak samo Rydzewski. Chwałę go, Dobry gospodarz. Duży czerw-

zarówki, samochody. Rozkręca się powoli budowa. Z Lnianej jeszcze lepiej widać ten ruch. Tam już zaczęli wyburzać. Pięć domów — na zawsze zniknęło, został tylko dom Łońskich i Kozłowskiej. Nie na długo zresztą, do czerwca. Najwięcej się martwi Kozłowska. Co ona

Zwiedzając różne miejscowości, mówimy nieraz: to miasto jest ładne, przyjemnie tu, a tamto takie nijakie, bez wyglądu. Co więc decyduje o wyglądzie miasta? Architektura i kolorystyka elewacji, zieleni i trochę elementów prawdziwej plastyki. To wystarczy, by stworzyć swoisty urok. Miasto to takie większe wnętrze. Zbędne w nim szczegóły przytłaczają podobnie, jak w zagraconym mieszkaniu.

Zagospodarowanie tej przestrzeni w taki sposób, by wszystko funkcjonowało sprawnie, a za razem było efektowne, jest niełatwym zadaniem — mówi naczelnik plastyki wojewódzkiej w Łomży, Wiesław Sielski.

Gdy miasto urasta do rangi stolicy regionu, okazuje się, że sporo spraw wymaga innego rozwiązania. Bardziej widoczne są błędy; stan ulic, wygląd domów, sklepów, instytucji pozostawia wiele do życzenia. To są stwierdzenia ogólne, istotne też w przypadku Łomży. Przyjeżdżający tu zwracają uwagę na piękne położenie, różnicę poziomów w ukształtowaniu terenu. A z drugiej strony razi ich z pewnością nadmierna ilość planów na ścianach budynków, w sposób nie zawsze przemyślany ustawione gabloty.

Ot, chciałoby się rzec — szkoda Łomży. Wiele szczegółów nie dopracowano, nie wszystko robiono dotychczas właściwie.

Ostatnio, trzeba przyznać, dużo się zmienia. Znikają niepotrzebne elementy, opracowano projekty nowych podświetlanych gablów, o których chyba już nikt nie powie złego słowa. Przygotowano też projekty kolorystyki elewacji, uporządkowania ciągów pieszo-jedynych, ukształtowania dwóch ulic i dwóch placów zabaw. Nowe, ciekawe — mijamy naderzo — wyposażenie terenu i kolorystykę ma otrzymać Osiedle Waryńskiego.

Powstanie również pracownia dydaktyki artystycznej (pierwsza jak dotąd w Polsce), która będzie przygotowywać młodzież na wyższe studia, oraz upowszechniać wiedzę o plastyce w społeczeństwie.

To niemało. Oby spełniło swoją funkcję i mogło służyć polepszeniu wyglądu miasta. Jaką rolę w tym procesie odegra plastyka wojewódzka? Bo to, że jest inicjatorem spotkań z artystami, dąży do tego, by Łomża stała się piękniejsza — to zrozumiałe, wynika z faktu wykonywania takiego a nie innego zawodu.

Najbardziej ogólnie kompetencje plastyka wojewódzkiego można sformułować w trzech punktach: opracowanie kompleksowego planu ukształtowania struktury przestrzenno-

plastycznej w skali województwa, nadzór nad jego realizacją i koordynacja poczyną w tym zakresie. Mówiąc prościej wchodzi tu w grę sprawa terenów zielonych (zwiększe-

wództwach nowo powstałych działających różnego rodzaju pracowni dekoratorskie, które ze względu na czysto personalnych nie mogą zatrudniać profesjonalistów, więc angażują absolwentów liceów plastycznych — oni przede wszystkim powinni się znaleźć pod fachową kontrolą. Osobom z prawami autorskimi plastyk wojewódzki nie zatwierdza projektów, o tym decydują ministerialne kolegia rzeczoznawców, on może jedynie je opiniować i sprawdzać, czy są zgodne z opracowanym głównym planem. Rola plastyka wojewódzkiego nie sprowadza się do tego, że sam cokolwiek postanawia. Współpracuje z

dwa obrazy znanych artystów na elewacji na pewno dodadzą uroku. Każdy chętnie by widział w Łomży malarstwo Picassa, prawda? Bo to dokument współczesnej kultury plastycznej.

Kiedyś myślałem, czy nie udałoby się stworzyć z Łomży miasteczka bardzo urokliwego, w klimacie fin de siècle'u. Koncepcja niezmierznie trudna, wymaga ogromnej woli, akceptacji i zrozumienia innych. A później krok po kroczku zmieniać ulice, wygląd domów, sklepów. Dużo trzeba na to czasu, no i przede wszystkim pieniędzy.

W Łomży w tym roku stanie pięć rzeźb ceramicznych, wykonanych przez artystów z Wrocławia. Tak, jak w pierwszej fazie zajmowano się likwidacją tego, co niedobre w informacjach plastycznych, tak teraz dąży się do wyposażenia miasta w elementy prawdziwej plastyki, za którą raz się zapłaci, a zostanie na długo.

Na studiach i na początku swojej pracy wyobrażałem, oczekiwałem nawet, że efekty działania plastyka będą większe, że przyjdą szybciej. Przebiega to jednak tak, jak jest możliwe.

Co w Łomży należałoby podkreślić plastycznie?

Gdybym ja decydował o tym, główny nacisk położyłbym na Starówkę i skarpę. Na Starówce można przystosować wnętrza mieszkań do współczesnych warunków i uzupełnić o pewne elementy urbanistyczne i architektoniczne, związane z jej charakterem. Na skarpie z kolei najpierw należy przeprowadzić wstępne badania geologiczne. To oczywiście jest proces długotrwały, ale dobrze byłoby, gdyby w pewnym momencie się rozpoczął.

Nie należy to jednak do pierwszoplanowych moich zadań. Najważniejszą sprawą jest prawidłowe ukierunkowanie działalności, by następcy mogli ją kontynuować, a nie zaczynać od początku. Będę dążył do stworzenia idealnego modelu placówki naczelnego plastyka. A stanie się ona wówczas taka, gdy będą przy niej pracownie projektowe dla plastyków, architektów zieleni, fotografików, gdzie by się znalazł również i socjolog, i ekonomista, którzy mogliby wykonywać opracowania, materiały wyjściowe, zamiast zlecać go poszczególnym osobom.

Trzeba jeszcze pamiętać, że nie czego nie da się zrobić z dnia na dzień. Właśnie w tej chwili, podobnie jak we wszystkich nowych miastach wojewódzkich, zajmujemy się stworzeniem bazy, z której będziemy mogli startować.

ALICJA ZIELIŃSKA

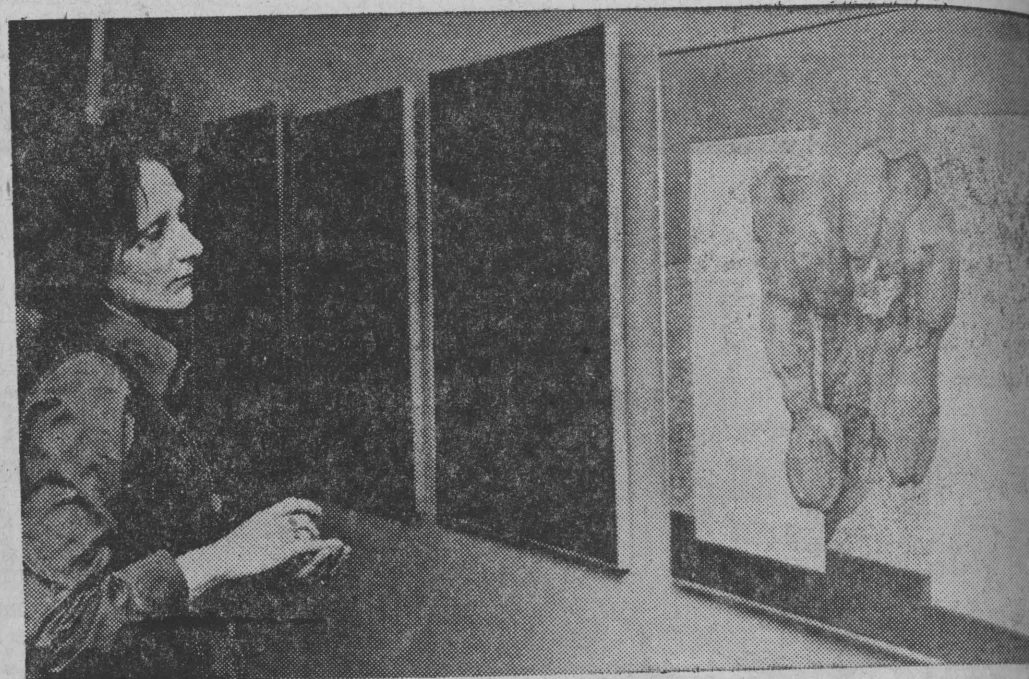
Miasto to takie większe wnętrze

nie ich powierzchnią, bo nigdy trawników i drzew nie jest za dużo, informacja wizualna (różnego rodzaju gabloty, tablice, plany reklamacyjne), kolorystyka budynków i tzw. mała architektura — ławeczki, place zabaw. Istotną przy tym rolę w wyglądzie miasta odgrywa kolorystyka elewacji i architektura. Na to głównie zwraca się uwagę. Nie mogą ona występować oddzielnie. Kolorystyka elewacji pełni funkcję usługową, musi pokazać budynki, jeżeli są piękne — podkreślić, jeżeli niedobre — architektom, co często się zdarza, to z kolei tak rozwiązać plastycznie, by zatuszować wady. To wszystko tworzy „umeblowanie” miasta, jego oprawę plastyczną.

Nim plastyk wojewódzki rozpocznie swoją działalność na szerszą skalę, czego od niego należy wymagać i spodziewać się po nim, musi otrzymać upoważnienie do wydawania decyzji w imieniu wojewody. W zakresie swoich kompetencji zatwierdza wtedy projekty plastyczne, realizowane przez osoby nie posiadające prawa autorskiego (w województwach nowo powstałych działających różnego rodzaju pracowni dekoratorskie, które ze względu na czysto personalnych nie mogą zatrudniać profesjonalistów, więc angażują absolwentów liceów plastycznych — oni przede wszystkim powinni się znaleźć pod fachową kontrolą. Osobom z prawami autorskimi plastyk wojewódzki nie zatwierdza projektów, o tym decydują ministerialne kolegia rzeczoznawców, on może jedynie je opiniować i sprawdzać, czy są zgodne z opracowanym głównym planem. Rola plastyka wojewódzkiego nie sprowadza się do tego, że sam cokolwiek postanawia. Współpracuje z

konserwatorem, z architektem zieleni. Współdziałanie musi trwać cały czas i opierać się na zrozumieniu tego, co każdy robić powinien. Często współpracę rozumiana jest jako wspólne wykonywanie czynności, tymczasem każdy powinien spełniać swoje obowiązki. Najlepiej byłoby, gdyby współpraca biegła równoległe, a w określonym momencie następowo przekazywanie papelek. W praktyce to wyglądałoby mniej więcej tak: gdy plastyk wojewódzki pragnie zagospodarować skarpę w Łomży, która podlega ochronie zabytków zieleni, więc nim przystąpi do swojej roboty, zapozna się z aktualnymi materiałami, wcześniej już przygotowanymi; w sprawie Starówki zwraca się z kolei do konserwatora wojewódzkiego; pomysły elewacji omawia z architektem itd.

Dlatego też wszystkie sprawy, związane z wyglądem miasta, powinno się powierzać osobom kompetentnym. Unika się wówczas subiektywizmu. Oczywiście, można pozwolić na indywidualne spojrzenie, jeden



Do końca lutego czynna jest w studenckiej galerii „Raport” przy ul. Świerkowej (dom studencki) wystawa malarstwa JERZEGO LENIEWICZA. Wśród 10 eksponowanych prac znalazły się obrazy prezentowane na ostatniej indywidualnej wystawie artysty w

białostockim Biurze Wystaw Artystycznych, obrazy z cyklu „Zmagania” oraz inne tzw. kompozycje biologiczne.

NA ZDJĘCIU: fragment wystawy. Fot. Z. Leniewicz

Uczniowie z Zespołu Szkół Zawodowych Białostockiego Zjednoczenia Budownictwa w Elku poznają przede wszystkim przyszły zawód. Dyrekcja dba jednak i o to, by zapewnić — zwłaszcza młodzieży mieszkającej w internacie — możliwość kulturalnego wypoczynku i zainteresowań literaturą, filmem czy teatrem. Od kilku lat raz w tygodniu wyświetlane są filmy oświatowe, a co drugi tydzień — fabularne. Istnieje też w szkole kabaret, ze-



się cotygodniowe audycje, popularizujące wybrane dziedziny twórczości (m.in. historia teatru polskiego). Ogłoszony też zostanie konkurs, w którym słuchacze będą się mogli wykazać swoją znajomością sztuki współczesnej.

Wyjątkowo surowa zima i kłopoty komunikacyjne nie pozwalają na częste organizowanie wyjazdów na przedstawienia i wystawy do in-

Nowe obszary zainteresowań

spół recytatorski i kolo plastyczne.

Ogłoszenie drugiej edycji „Przygody z muzą” zainspirowało młodzież i dyrekcję do podjęcia nowych przedsięwzięć, wprowadzających w świat sztuki współczesnej. Nawiązana została współpraca z Filharmonią narodową; raz w miesiącu uczniowie będą mogli wysłuchać koncertu kameralnego. Zespół

Szkół Zawodowych zabiega o zapoczątkowanie podobnej współpracy z Biurem Wystaw Artystycznych w Suwałkach: w sali widowiskowej w internacie mogłyby się odbywać wystawy plastyczne. Zamierza się zapraszać na spotkania autorów prezentowanych prac, krytyków i teoretyków sztuki. Po uruchomieniu radiowęzła szkolnego, co ma nastąpić w najbliższym czasie — planuje

nych ośrodków. Dlatego też młodzież z Zespołu Szkół Zawodowych uczestniczyć będzie przede wszystkim w spektaklach teatralnych, odbywających się na scenie Miejskiego Domu Kultury w Elku. Dotychczas uczniowie mieli możliwość obejrzenia „Kwartetu C-dur” w wykonaniu Teatru Ziemi Łódzkiej. W najbliższym czasie planuje też zawiązać Klub Młodszych Teatru Telewizji. (jot)

„NIEWIDZIALNA KOCHANKA” — premiera w teatrze

Najnowsza premiera na dużej scenie Teatru im. A. Węgierki będzie sztuką Pedro Calderona de la Barca pt. „Niewidzialna kochanka”.

Pedro Calderon de la Barca znaczną część swojej twórczości poświęcił tematyce filozoficzno-religijnej. Napisał m.in. „Uwieśnienie krzyża”, „Czarnoksiężnika”, „Księża niezłomnego”. W 1636 roku powstał jego najwybitniejszy dramat filozoficzny pt. „Życie jest snem”. Pisał także komedie, z których „Niewidzialna kochanka”, zachowując dystans do obyczajowości tamtych czasów, zawiera elementy fantazji i magii.

W spektaklu udział biorą Danuta Kierko, Teresa Sokółowska, Helena Wizio, Andrzej Borysiewicz, Krzysztof Kaczmarek, Jerzy Kulicki i Andrzej Szczytko. Sztukę reżyserował Jerzy Zegalski, scenografią Jadwiga Czarnockiej, muzyką Tadeusza Woźniaka.

Premiera w sobotę, 24 lutego br. o godz. 19. (CH)

W białostockim Klubie MPIK czynna jest od środy wystawa fotografii radzieckiego fotoreportera Agencji TASS — EUGENIUSZA KOZIULA. Zorganizowana wspólnie z Białostockim Towarzystwem Fotograficznym, prezentuje ponad 30 prac utalentowanego fotoreportera, który przedstawia zarówno pejzaże Białoruskiej SRR, jak i interesujące portrety. Koział zajmuje się wyłącznie fotografią prasową, wydał już kilka albumów poświęconych włosce Chatyn, której mieszkańcy wymordowali w czasie ostatniej wojny faszystów. Nie interesują go —

PORTRETY I PEJZAŻE

jak powiedział w czasie spotkania autorskiego — prace czysto formalne, chociaż Klub Fotoreporterów w Mińsku, do którego należy od wielu lat, preferuje przede wszystkim tzw. grafikę przetworzoną, a więc często związaną z działaniem czysto formalnym.

Jest jednym z 13 fotoreporterów Agencji TASS działających na terenie Białoruskiej SRR; był inżynierem projektantem — po kilkunastu latach pracy zmienił zawód, wybierając aparat fotograficzny w miejsce deski kreślarskiej. Ciekawa ekspozycja, którą można oglądać przez najbliższe dwa tygodnie w kawiarni „em-piku”, jest efektem współpracy Białostockiego Towarzystwa Fotograficznego z Klubem Fotoreporterów w Mińsku, zrzeszającym zarówno amatorów, jak i zawodowców. Niedawno efekty swojej pracy przedstawił tam białostocki fotograf Marek Dolecki, w planach — znacznie szersza wymiana wystaw i wzajemne wyjazdy fotografików. Przy okazji wizyty Eugeniusza Koziała i jego wystawy (która będzie następnie prezentowana w innych miastach Polski) omówiono więc dokładniej zasady tej interesującej współpracy.

J. G.



NA ZDJĘCIU: E. Koział i jego prace.

Fot. Z. Leniewicz

W Grodnie, Lidzie i... telewizji

Dużym sukcesem artystycznym zakończyły się niedawne występy Zespołu Pieśni i Tańca Białostockiego „Kurpie Zielone” w BSR. Nasz reprezentacyjny zespół występował w Grodnie, Lidzie i innych miejscowościach Białorusi. Wszędzie spotykał się z serdecznym przyjęciem publiczności. Każdy występ poprzedzało miłe powitanie przez gospodarzy oraz wręczenie kierownikom zespołu: Wiesławowi Dąbrowskiemu i Je-

rzemu Śródkowskiemu i trójce instrumentalistów. Podczas pobytu w Grodnie zespół nagrał 55-minutowy film dla tamtejszej telewizji. Trzeba wiedzieć, że Kurpiacy filmowani byli za granicą już po raz drugi. Dwa lata temu telewizja wileńska nagrała z nimi 35-minutowy, kolorowy film.

W historii liczącego 25 lat zespołu „Kurpie Zielone” był to już dziesiąty występ w ZSRR, a siódmy na Białorusi. (CH)

Przesłuchania młodych muzyków

26 lutego w salach białostockiego Zespołu Placówek Kształcenia Artystycznego rozpoczyna się ogólnopolskie przesłuchanie uczniów sekcji instrumentów dętych drewnianych, studiujących w szkołach muzycznych stopnia średniego. Usłyszymy ponad 100 młodych muzyków z 46 szkół z całego kraju, grają-

cych na flecie, oboju, klarecie, fagocie i saksofonie. Przesłuchania będą trwały trzy dni od wczesnych godzin rannych do wieczora, natomiast 28 lutego o godz. 18 w sali koncertowej Państwowej Filharmonii odbędzie się koncert laureatów, na który zapraszają organizatorzy konkursu. (gr)

W Międzynarodowym Roku Dziecka Telewizja Polska zapowiada rozszerzenie zestawu programów przeznaczonych dla najmłodszych widzów. Obok licznych filmów na szklanym ekranie zaprezentowanych będzie wiele różnego rodzaju widowisk teatralnych i muzycznych.

Wśród nich znajdzie się 5-odcinkowy cykl będący plonem ankiety przeprowadzonej wśród najmłodszych, której celem było poznanie dziecięcych marzeń. Okazało się, że np. pewna dziewczynka marzy o tym, żeby choć raz w życiu stanąć na prawdziwej scenie, chłopiec chciałby poznać pracę operatora dźwięku. Pierwszy odcinek zostanie nadany w kwietniu.

Przygotowywany jest także cykl pt. „Podarunek”, w którym zaprezentowane zostaną widowiska na podstawie scenariuszy napisanych przez popularnych autorów literatury dziecięcej, m.in. Joanne Kulmowa i Ludwika Jerzego Kerna. Pierwszy program z tego cyklu emitowany będzie w czerwcu. Ponadto TVP ogłosiła konkurs zamknięty na scenariusz widowiska dla dzieci. Plon znany będzie pod koniec roku.

Ciekawie zapowiada się 3-odcinkowy program z udziałem blisko dwutyśięcnej dziecięcej widowni przygotowywany przy

współdziałaniu trzech wytwórni filmów animowanych. Będą to trzygodzinne spotkania dzieci z twórcami popularnych seriali rysunko-

wych — Misia Uszatka, Bółka i Lolka, Koziołka Matołka — połączone z różnego rodzaju zabawkami i quizami. Pierwszy program z tego cyklu, w którym wystąpią też gwiazdy estrady m.in. Czesław Niemien i Andrzej Rosiewicz emitowany będzie w czerwcu.

W niedzielnym wieczerzonym od maja prezentowane będą baśnie z różnych stron świata, a już w marcu, również w niedzielę, w cyklicznym programie pt. „Pan Półka i Spółka” po-

dzienka ub. roku (raz w miesiącu), również poświęcony jest zacieśnianiu więzów sympatii między dziećmi z różnych krajów. Do lutego „Skankanki” zaproszeni zostaną mali mieszkańcy Skandynawii.

Oprócz programów przygotowanych przez TVP na małym ekranie będą gościł widzów realizowane przez bratnie stacje Interwizji. Już w lutym zapre-

zentowane będą krótkie filmy — wizytówki sześciu polskich miast — widzianych oczami małych dzieci.

Telewizja Dzieciąt i Chłopców — adresująca swe programy do dzieci trochę starszych — w czwartkowym bloku wiele miejsca poświęci X Turniejowi Wiedzy Obywatelskiej ZHP, którego tegoroczne hasła związane są z Międzynarodowym Rokiem Dziecka. Do programu zaproszeni zostaną dziennikarze, naukowcy, podróżnicy po świecie i znający problemy dzieci w różnych częściach kuli ziemskiej. W lutym prof. Bolesław Górnicki opowie o życiu najmłodszych w Azji i Afryce. Relacje gości TDC wzbogacone zostaną filmami i zdjęciami.

Autorzy niedzielnego Telebanka prowadzić będą akcję popularizującą tegoroczny kwietniową aukcję dziecięcych prac plastycznych. Dochód z tej imprezy przeznaczony zostanie na Centrum Zdrowia Dziecka. Ogłoszono także konkurs fotograficzny pod hasłem „Tacy jesteśmy”. Najlepsze z nadesłanych prac wydane będą w specjalnym albumie.

Telebank zaprasza także do obejrzenia wielu ciekawych filmów o dzieciach na świecie. (PAP)

TVP w Międzynarodowym Roku Dziecka

wiecom popularizacji książek dla najmłodszych — przedstawione zostaną ulubione lektury dzieci z różnych kontynentów.

Jesienią TVP wspólnie z telewizją węgierską zrealizuje wspólny program ukazujący małych przyjaciół z Polski i Węgier.

Magazyn „Skankanka”, emitowany przez TVP od paź-

zentaowanego zostanie widowisko muzyczne pt. „Karusela” — zmontowane z programów radzieckich, czeskich i polskich.

Telewizja Najmłodszych zapowiada także nowe seriale dobraneckie — węgierski „Osiłek poznaje świat” oraz dwa czeskie „Opowieści książkowego Piotrusia” i „Wiercik”.

Magazyn „Skankanka”, emitowany przez TVP od paź-

Sukcesy amatorów

W woj. białostockim działa ponad 100 amatorskich zespołów teatralnych, z których liczne mają długoletnią tradycję. W ostatnich latach ruch ten przechodził swoistą metamorfozę, polegającą na zanikaniu tradycyjnych zespołów dramatycznych na korzyść teatrów małych form, zespołów kukielkowych i in. Najbardziej prężnym ośrodkiem amatorskiego ruchu teatralnego są Siemiatycze, gdzie w samym mieście i gminie działa kilkanaście zespołów.

Podczas niedawnych wojewódzkich eliminacji do ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich startowało 30 teatrów małych form. Na finałowym przeglądzie najwyższe oceny teatry pojeździły przy Liceum Ogólnokształcącym w Łapach za spektakl „Noc listopadowa” i przy Liceum Sztuk Plastycznych w Suprasiu za program „Freski z Suprasia”, a także kabaret „Ad rem” z III LO w Białymstoku, który zaprezentował „Sześciopięć”. Zespoły te reprezentowały będą Białostockie na międzynarodowych eliminacjach w Olsztynie.

...i uczniów

Spory sukces na Ogólnopolskim Przeglądzie Kameralnych Zespołów Muzyki Dawnej odniosła białostocka szkolna orkiestra dziecięca z PSM i stopnia prowadzona przez Mięczyława Szymankiewicza. Na tym konkursie — organizowanym przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania w Kaliszu — zespół zdobył III miejsce. Przegląd odbywał się w dniach 5-7 lutego. (gr)



O zegarach

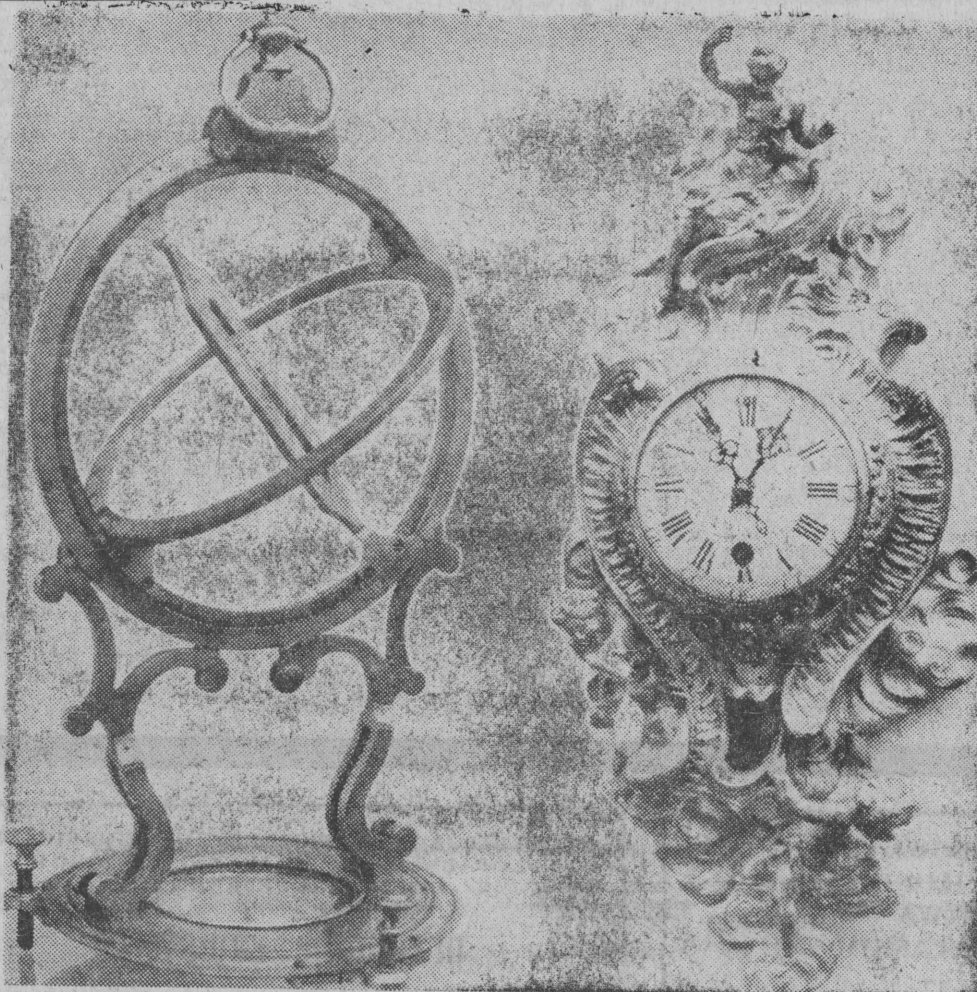
Zegar jest chyba jedynym urządzeniem mechanicznym, które poezja, proza, dramat — w ogóle sztuka jako taka — uznają za przedmiot godny sławienia, na swój sposób jakby święty. Ludzie zachwycały kombinacje kółek zębnych, trybików, sprężyn, poruszających się ruchem obrotowym, wahadłowym, wiążących je określone porządku, pozytywnie, tańczące figurolki.

W Polsce, jeszcze w XVI wieku w dworach szlacheckich czas mierzyli klepsydra, a zwyczaj noszenia zegarków — początkowo kieszonkowych — datuje się w naszym kraju od czasów saskich. Syjący tupały, krawcy wyszywali u prawego boku mające służyć do tego celu kieszonki. Później noszone zegarki w zanadrze koniusza. Wyłomów w tym dokonał król Szał, który kazał najbliższemu mistrzowi sztuki wykonać zegarek osadzony w guzik. Mierzący czas guzik przyszyto do kłapiki nad rękawem, skąd już niewiele brakowało do przełożenia go na rękę. Julian Ursyn Niemcewicz, na którego powołuje się Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej” — pisze, że

Zygmunt III podarował nuncjuszowi papieskiemu — Gaetornowi zegar w kształcie świątyni, w której wyrobiona była procesja ze srebra wchodząca do kościoła św. Piotra. Gdy zegar bił, wszystkie figurki posuwały się do przodu, ojca świętego niesiono na krześle, odzyskiwały się trąby i koły.

Miała znakomitych fachowców — zegarmistrzów. W Warszawie, Krakowie, miały małe miasteczka. W Łomży np. zarzą po wojnie było kilkanaście warsztatów. Dziś zawód ten nie jest już taki popularny. Również w te dziesiątki tysięcy tanich zegarków — nawet te z kukułką — stały się produktem masowym. Niemniej się czasomierzem elektronowym. Niemniej się zegarem, który przedstawialem bardzo potrzebnego zawodu, gdyż z powodu drobnego defektu trudno wyrzucić rzecz, do której człowiek zdążył się przyzwyczaić — na brak pracy zegarmistrza zatem nie narzekają.

Fot: Ryszard Piechocki



Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

Fotele nie muszą być aż tak miękkie, by wprowadzać blizny na dół. Nie. Entuzjastom ludzi porywa nawet sfrustrowanych bogów.

Pierwotkowani przez wydarzenia lubią być podnoszeni do potęg mitu.

Obleczeni w purpurę stają się nieosiągalni dla głosów czarnej rozpacz.

Każdy sprawca cyrkulacji papierków nosi buławę biurokraty w aktówce.

Niektórzy własną osobowością grzmia głosić jak salu armatni.

Nietypowy dla epoki ekscentrycznego draństwa: normalny drań.

Można mieć argusowe spojrzenie a mimo to sprawić wrażenie człowieka z zawiązanymi oczyma.

Z TEKI SZPERACZA

W dniu 12 stycznia 1933 r. w paśmie biłostockiej „Dziś Dobry” ukazał się dość duży artykuł zatytułowany „Białystok szuka pięknej dzielnicy reprezentacyjnej”. Już sam tytuł mógł obudzić kontrowersje. Białystok — był typowym miastem fabrycznym i kupieckim. Treść artykułu mogła do reszty zbudować praktycznych, biłostockich, a zwłaszcza tych, którzy zdawali sobie sprawę z zapóźnień tego miasta w stosunku do wielu innych, co przejawiało się m. in. brakiem kanalizacji, gazowni, tramwajów, niedorozwinięciem sieci wodociągowej, koszmarnym higieniczno-urbanistycznym w postaci dzielnicy Chanajki, „kocimi łbami” na głównych ulicach. Biorąc pod uwagę ilość a zwłaszcza jakość tych potrzeb, sprawę reprezentacyjnej dzielnicy należałoby ustawić na dziesiątym miejscu.

Oddanie Plant do użytku nie oznaczało całkowitego ich ukończenia. W dniu 18 lutego 1933 r. prasa donosiła o projekcie rozebrania dotychczasowej tramwajowej przy ul. Świętojańskiej. „Otworzy się dzięki temu piękna perspektywa z jednej strony na Złoty Zamek, z drugiej na Dom Ludowy”, czytamy. Rozbiórki dokonano w marcu. Na perspektywę otworzyła się tylko cząsteczka, bo na miejscu tramwajowej postawiła domy o średniej wysokości. Planty założyli do samej wojny, a mimo to ich część przyleżała do ul. Akademickiej (po prawej stronie głównej alei) czekała na ukończenie do lat pięćdziesiątych.

Planty były piękne. Szczególnie zachwycały przedwojenni — a i miejscowi także, bo gdy już nie było już, to Planty były piękne.

PLANTY

Władze miejskie nie miały tych skrupułów. Zwróciły się do wojewody Kosińskiego, aby przekazał państwowe grunty o powierzchni 25 ha, położone między ulicami Legionowa, Mickiewicza, Świętojańską i Wersalską. Wzrostł teren miał być wykorzystany następująco: ul. Elektryczną miało przedzielić do Wersalskiej (dziś Akademickiej), od strony ul. Świętojańskiej (Nowickiej) uziębienie domów urzędniczych miało powstać aleja odlegająca ruch pieszy na „Świętojańską”. Natomiast od strony ul. Mickiewicza i frontem do niej, mniej więcej w środku stawyby też ogródek Jordaniowski dla dzieci. W ten sposób uzyskano by ładną, reprezentacyjną dzielnicę godną miasta wojewódzkiego oraz połączenie Parku Miejskiego im. księcia Józefa Poniatowskiego z Parkiem 3 Maja.

Biłogostkę zakupił w Zarządzie Szkół Franciszek hr. Zamiatowski, w Podzamczu 608 drzewo 34 gatunków wartości około 2000 zł. Równocześnie zwrócił się do tutejszych władz o przekazanie terenów, które miały być zamienione w ilość około 100 sztuk. O ile roboty pójść w szczyt, to wykonanie, ukończenie całości wraz z poszerzeniem ul. Mickiewicza na odcinku od Świętojańskiej do Elektrycznej sprowadzić się mogło do „narzutek” 30 tysięcy, ustawieniu oryginalnych latarni i o spacerach biłostockich po nowym parku. W tym czasie wojewoda Zygmunt Kosiński-Kosiński awansował na ministra spraw wewnętrznych, wobec czego urzędnicy upadli na znakomity — ich zdaniem — pomysł, aby Planty nazwać jego imieniem. I ucytono to uchwałą z dnia 17 IX 1934 roku, zaś nazajutrz objął rząd nowy wojewoda, generał Stefan Pasłuszki. Wówczas decyzja władz miejskich, niechby była w smak, aczkolwiek ostatecznie powzięcie tego nie miało, bo w tym czasie podjęto Rade Miejskiej podjęła natychmiastnie przedmiotową ul. Wersalską na Bulwar im. Marianny Zyndram-Kosiłkowskiej. Za miast parku były wojewoda, a później premier miał tuż w Biłostoku tylko „swoją” ulicę wraz z przyległą aleją.

RYSZARD KRAŚKO



Motylem jestem. CAF — Kwiatkowski

Stracone dzieciństwo

W USA nadal trwa moda na dzieci — gwiazdy filmowe. Obecnie u szczytu powodzenia znajduje się 13-letnia Brooke Shields, która wcieliła się w rolę panienci lekkich obyczajów w głośnym filmie „Pretty Baby”. Dziewczyna chodzi jeszcze do szkoły, ale ma na koncie bardzo mało czasu. Za rolę w filmie otrzymała pół miliona dolarów. Jako modelka zarabia około tysiąca dolarów za godzinę. Za nakręcenie reklamówek do telewizji, która trwała zaledwie 60 sekund, jej mama zainkasowała 150 tys. dolarów.

Mama inkasuje honoraria i zarządza wielkim majątkiem swej nieletniej córki. Mała gwiazda otrzymuje pod pensję 5 dolarów tygodniowo, podobnie jak jej rówieśniczki ze szkoły.

Pod tym względem mama jest surowa. To jednak, że zabrała swojej córce dzieciństwo, zupełnie jej nie przeszkadza. (M.M.)

„Ciepły” chodnik

Pierwszy chodnik uliczny elektrycznie podgrzewany ułożono na ulicach Kijowa. Na ten pomysł wpadli pracownicy Instytutu Materiałoznawstwa AN USSR. Chodniki są wykonane z materiału o właściwościach dobrego przewodnika. Przez całą długość chodnikowej taśmy przepuszcza się prąd elektryczny pod słabym napięciem. Pomysł kijowskich naukowców uchroni mieszkańców miasta przed skutkami zimowych ślizgawic. Podczas mrozów i śnieży „ciepłe” chodniki są całkowicie suche i bezpieczne. (BK — APN)

Najstarsza „krasula” świata

„Nestorka” krowiego rodu w stanie Wisconsin zakończyła swój żywot w wieku 39 lat, ustanawiając tym samym rekord długości życia tych pożytecznych zwierząt. „Pierwsza dama” przemysłu serowarskiego w Wisconsin figurująca w

statystyce rekordów Guinnessa, urodziła 30 ciał, „występowała” niejednokrotnie w telewizji i była bohaterką wielu publikacji.

39 lat życia krowy odpowiada w przybliżeniu... 234 latom życia ludzkiego. (M. D.)



Polki ubierają się elegancko i sztywnie niezależnie od czasów, w jakich przyszło im żyć. Błyszczą w nich reguły na smukłą modę, dostosowując jej najnowsze tendencje do własnych upodobań. W ciągu blisko siedemdziesięciu lat, bardzo wiele się zmieniło w otaczającym nas świecie. Nie ma już dziś powozów, bardziej niż kiedyś, kwiatki spleśniały się, więcej i szybciej podróżujemy. I odeszły tym samym musi być bardziej wygodna i funkcjonalna, odpowiadająca naszemu stylowi życia. Chociaż ostatnio coraz częściej wracamy się do mody retro. Może to ucieczka przed zbyt szybkim życiem, albo brak nowych pomysłów u projektantów. Chyba jedna i drugie. CAF — Archiwum

KRZYŻÓWKI

POZIOMO: 1) dawniejszy górnik, 6) strzeliste drzewo, 11) kawałek prostego grubego drutu, 13) kominiarz Harold, 15) las w mieście, 19) część ogrodu obsadzona różami albo kuzynka karpia, 16) rebiak lub rąkosiek, 17) nieprzyjemny zapach, 18) sytuacja bez wyjścia, 19) mąż matki, 20) klub piłkarski, 21) szachy, 22) stół, 23) wrzawa, 24) hamster, 25) naleśnik do buławy, 26) potoczna nazwa grochodrzewu, 29) bal, 30) rodzaj pierzcha, 31) współautor „Manifestu Komunistycznego”, 32) dawna moneta bity w różnych krajach Europy, 34) najwolniejszy chód krowy, 37) stała opłata ustalona urzędowo, 40) autor „Łochów Wiatyków”, 41) świadome dążenie do osiągnięcia czegoś, 44) duża i szeroka tarcza drewniana obita skórą, 46) groźna, zaspłona mina, 48) instrument muzyczny, 49) łódź, 50) tytuł naczelnika państwa w dawnej Wenecji i Genui.

POZIOMO: 1) miasto, 5) ptak spokrewniony z kormoranem, 6) olejek różany, 4) futro z tchórza, 5) rodzaj zapieka, 6) duża wypowleź w podniosłym stylu, 7) mąż Penelopy, 8) przeciwstawianie się, 9) popularna woda kwiatołwa, 10) statek Noego, 11) coś pośredniego między błaganem a żądaniem, 14) imię Jędrusik, 21) roślina śródziemnomorska będąca popularnym motywem rzeźbiarstwa, 22) roślina o żółto-brunatnych kwiatach, 23) ryk, 24) włosek lub smoczek, 25) droga o twardej nawierzchni, 26) uciekinier, 27) stopniowy zrost czynności życiowych ustroju, 31) rodzaj dachówki, 32) grzybek podłaski, 34) jeden z bohaterów „Graszyń”, 35) dawnoznana japońska w lokalnym rozrywaniu, 36) główne źródło fosforu dla gleby, 39) np. belgijski perszeron, 42) imię Lipińskiej, 43) AN Baba, 44) mieszkanka Iranu.

HELLES

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 43”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 37

POZIOMO: Spa, skand, wódnik, kler, Aram, browar, kren, mieta, okapnik, bleg, rasa, lusak, kad, zdrowie, epos, sanna, Aman, Prot, słońca, stół, kosa, kopia, neta, reja, pomaśka, robot, ren.

PIKOWO: opar, skóra, Anna, steward, dżika, wiot, karpie, kren, menu, biernik, rosmak, mizeria, Midas, kawa, kapok, bas, arak, kot, zacep, inspekt, neon, pola, zator, tula, Odro, Amor, Abel.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 31 z 10 lutego br., nagrody książkowe wysłaliśmy: Adela Szady ze Starych Juch, Jarosław Kubrak z Pizy, Elżbieta Dzierżawska z Stanisław Sianko z Biłogostu oraz Bogumi Gierowski z Ełku.

Nagrody przesłamy pocztą.



Pisałem już w tej rubryce o wydanych wcześniej płytach z serii „Archiwum polskiego jazzu” i o przed kilkoma dniami ukazał się czwarty, ostatni krążek z tego nieodnawialnego cyklu, zawierający nagrania zespołów istniejących w polowie lat pięćdziesiątych grających jazz nowoczesny oraz — na

jak to wówczas najczęstsze bywało — znane standardy: „Hampton, Handy” czy „Shearinga. Sporo w tym wykonaniach nieporównanie, braku rozumienia czym jest właściwie jazz. Chwilami udało się, że muzyka nie była rozróżnialna ten gatunek od knajpianej muzyki rozrywkowej. Na drugiej zaś stronie utrwalał takich pianistów, jak: Waldemar Maciejowski, Tadeusz Prejzner, Jerzy Herman, Edward „Guidon” Władysław, Andrzej Kurylewicz, Krzysztof „Komed” Trzaskowski. Właściwie tylko dwójka ostatnich są dzisiaj bardzo popularni: muzyka Komedy — mimo śmierci — kompozytor — nadal istnieje chociażby

JAZZ

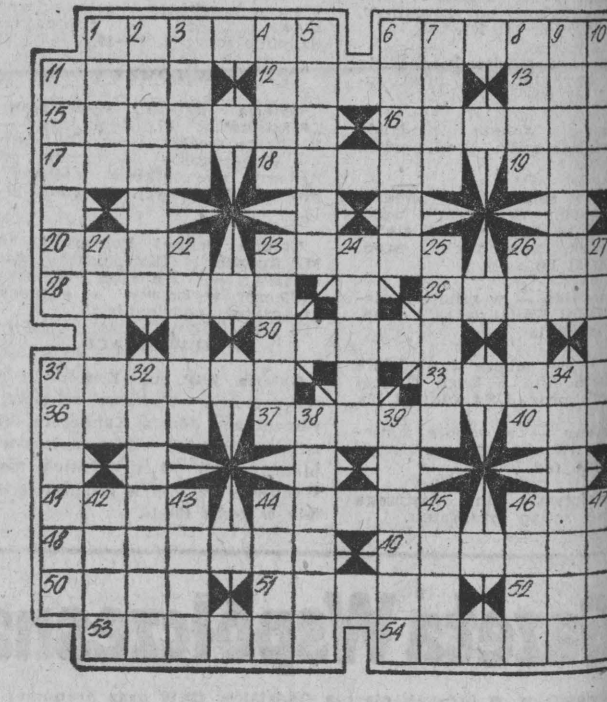
lat minionych

drugiej stronie — najwybitniejszych pianistów tamtej epoki. Seria ta jest o tyle ewenementem, że znalazły się na niej m. in. nagrania nigdy dotąd nie publikowane; więcej — nagrania, o istnieniu których nie wiedzieliśmy. Jakże nieporadnie wyglądał wówczas nasz polski jazz, o którym dzisiaj, po trzydziestu blisko latach coraz głośniejsze światło. Nie było żadnych wzorów: płyt, nagrań taśmowych, nut, brakowało instrumentów (zresztą — prawdziwe mówią — dzisiaj też nie jest z tym najlepiej), ale między kompozytorami utrwalałymi na pierwszych płytach ze wspomnianej serii, a tymi na czwartej jest już różnica ogromna. A dzieli je kilka zaledwie lat.

Tak więc na pierwszej stronie znajdujemy Sekstet Organowy Andrzeja Kurylewicza oraz zespoły Lesława Lica i Jerzego Hermana grające —

w wielu filmach, natomiast Kurylewicz ciągle występuje chociaż prawie zrytualizowany z jazzu. Pozostali pianisci, gorsi lub lepsi, niemal całkowicie odeszli z pamięci. Jak już pisałem, omawiając poprzednie płyty z serii „Archiwum polskiego jazzu”, mają one szczególne znaczenie przede wszystkim dla słuchaczy zajmujących się historią jazzu. Do dnia dzisiejszego bowiem ta muzyka zrobiła tak wielkie postępy, że zachwycamy się raczej scem Petersonem i Adamem Makowiczem, grupą Dextera Gordona i zespołem Zbigniewa Namysłowskiego, niż pierwszymi, nieporadnymi wykonaniami sekstetu Kurylewicza. Ale ciśm dobrze mieć obraz przeszłości.

JACEK GRUB



Domek będzie jednorodzinny, z cegły kratów-ki. Spadzisty dach kryty kolorowym eternitem. Koło domu garaż, z przodu i z tyłu ogródek. Wewnątrz niewiele pomieszczeń. Przede wszystkim duży pokój, wysoki na dwie kondygnacje, przedzielony kominkiem na część dzienną i wypoczynkową. Hol i kuchnia stanowią z tym pomieszczeniem właściwie jedną całość. Ażurowe schody wiodą na piętro, gdzie są dwie duże sypialnie, łazienka, suszarnia. Druga łazienka jest na parterze, obok gościnnego pokoiku.

Zaprojektować osiedle

Chciałbym mieszkać w takim domu. Grażyna też, dlatego tak go zaprojektowała. Ale czy innym użytkownikom spodoba się? Czy odczuwają potrzebę przestronnego wnętrza, wysokiego dziennego pokoju, pełnego powietrza? Bo gusty ludzi ukształtowane zostały przez blokowe mieszkania, potrzeby wieksości zaspokajane są przez tyle kłitek, ile członków rodziny, plus salon. Ten model przenoszący jest do „wili” przy czym jedną kondygnację przeznaczają się z reguły na jak najmniej komfortu do wynajęcia.

Pewnie, zadaniem architekta jest również kształtowanie gustów i zapotrzebowania. Ale trzeba brać pod uwagę strukturę rodziny przyszłego lokatora, jego wyobrażenia o swoim domu i przynajmniej jeszcze parę innych rzeczy. Jak to zrobić, kiedy projektuje się w ciemno?

Grażyna najbardziej odpowiada zasadą Le Corbusiera: zostawić użytkownikowi jak najwięcej możliwości zagospodarowania po swoim wnętrzu. W domu, na razie jeszcze tylko wyrysowanym przez nią na papierze, ale który niedługo powinien stać się rzeczywistością, będzie trochę takich możliwości. Suszarnię łatwo zamienić na przykład na pracownię, kuchnię czy hol oddzielny od dziennego pokoju ścianką albo elementami pionowymi.

Kontrowersję wzbudzać mogą jednakże nie tylko wnętrza. Domki nie będą stały oddzielnie, ale szeregowo wzdłuż uliczek, w zespołach po sześć, dwanaście a nawet szesnastu. Na to już Grażyna nie miała wpływu, projektowała na wytyczonych uprzednio geodzyjnie działkach. Budownictwo „fasermowe” zaplanowane zostało bowiem na części większego osiedla na Antoniku, w rejonie ulicy Wiatrakowej i Ukosnej. Tyle, że według pierwotnych założeń domki miały być stawiane z wielkiej płyty. Odstąpiono od tego, gdy zapadła decyzja budowy przez młodzieżową brygadę patronacką. Domki będą więc budowane tradycyjnie, ale ze wszystkimi wygodami: gaz, ciepła i zimna woda, centralne ogrzewanie. Właśnie całe to uzbrojenie wpłynęło na takie a nie inne wytyczenie działek; chodzi o niepodrażnienie kosztów budowy.

I tu dochodzimy do sedna sprawy: co może architekt, choćby najzdolniejszy?

Architekt może ukształtować nie tylko bryłę budynku. Także urbanistykę osiedla. Szansa jest dla niego ciekawie pofalowany teren, zieleń, obrzeża starej zabudowy. Tak było na przykład w Bielsku. I to też sprawia, że chociaż w OWT, są gorsze i lepsze osiedla. Przytulne i zaciszne, z własnym klimatem, albo odpychające niczym pustynia.

Do osiedli dających się lubić zalicza Grażyna to, w którym mieszka: Przydworcowe w Białymstoku, autorstwa inż. arch. Józefa Matwiejuka. Tego samego, który zaprojektował w blokach

jakiego nie ma w żadnym mieście. Chciała je zaprojektować. Marzenie to zostało, tyle, że trochę głębiej schowane. Wyprowadziło je inne: zapewnić wszystkim młodym rodzinom samodzielne mieszkania. Ona sama uważa się za osobę prawie w czepku urodzoną. Trafili z mężem do Białegostoku w okresie, kiedy brakowało takich specjalistów jak architekt, a jeszcze bardziej inżynier sanitarny. Dostali swoje trzy pokójki bardzo szybko; co prawda Bartek zdążył już przyjeżdżać na świat, ale co znaczy półtora roku wobec dwunastoletnich oczekiwania.

Osiedle domków jednorodzinnych to już zamknięty rozdział, oczywiście w sferze projektowania, nie realizacji. Teraz na deskach kreślarskich znajduje się budynek patronacki dla młodych małżeństw przy ul. Orzeszkowej w Białym-

jakiego nie ma...

na Białostocku mieszkania dwupoziomowe. Jest to jakiś krok naprzód, wyjście ze schematu.

Wydawało się też, że szansą dla projektanta będzie budownictwo spółdzielcze w gminach, które zaczyna tam coraz śmielej wkraczać. Jako że tradycyjne, budownictwo to daje możliwości indywidualnych rozwiązań architektonicznych, ciekawych, dużo funkcjonalniejszych mieszkań. Ale i tu są bariery: finansowe, tym dotkliwsze, że w ogóle budownictwo na nie uzbrojonych terenach jest znacznie droższe.

Marzyło się Grażynie na studiach wspaniałe osiedle,

kiwań. A chociaż im już ciasno i tak mają luksusowe warunki w porównaniu chociażby do swoich kolegów z zespołu: jeden dojeżdża do pracy kilkadziesiąt kilometrów, co tegorocznej zimy jest prawdziwą udręką, drugi mieszkał z żoną i dwójką dzieci w jednej kłitce... Niechże więc już będą standardowe mieszkania w osiedlach z OWT, bo to na razie jedyny sposób, aby młodzi byli na swoim.

Z tych wszystkich marzeń Grażyna zrodziło się jej patronackie projektowanie. Robi to społecznie, wieczorami w domu, na stole, który służy wszystkim jako jadal-

stoku: tradycyjne budownictwo, 24 mieszkania typu M-3, ale około 50 m kwadr. powierzchni, dwa pokójki z węgłą, duża kuchnia i łazienka. W wysokiej piwnicy znajdują się pomieszczenia na klub, świetlicę i punkt opieki nad dziećmi. To wszystko bardzo jest potrzebne dla zacieśnienia więzi społecznej pomiędzy mieszkańcami. A punkt opieki może być wydany społecznie, raz jedna mama będzie dyżurująca, raz druga.

ANIELA LABANOW



Grażyna Nasierowska i jej zespół, chociaż nie w komplecie: Tadeusz Wytwer, Wiera Oleksicka, Krzysztof Korwek i Andrzej Horodński.

Fot. Krzysztof Świdorski

Gdy pytam przygodnie spotkanego rolnika ze Sztabina, gdzie mieszka Roman Radomski, odpowiada: Radomski tu nie mieszka, tutaj pracuje. Dojeżdża z Augustowa. Jest dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych. Wszyscy w gminie znają go dobrze i to nie od dzisiaj. On robi tak, żeby rolnikowi dogodził. Szanuje robotę, to i ludzie go szanują.

Dyrektora SKR zastaje w Urzędzie Gminy w Sztabinie. Akurat zbiera się narada w sprawie przygotowań do wiosennych prac polowych. Rozmowy na ten temat bez udziału przedstawicieli SKR nie mogłyby się obejść. Dyrektor Radomski informuje, że część maszyn jest już przygotowanych i sprawozdanych. Niektóre czekają jeszcze na naprawy w POM, ale one później wyruszą w pole. Co do terminowości remontów nie ma obaw. Trudno jednak o pełne zadowolenie. Z częściami zamiennymi kruch. Dostawy ciągle na styku, zwłaszcza tych detali, które najczęściej wysiadają. Z myślą o wiosnie spółdzielnia przygotowuje się do kompleksowego wysiewu nawozów mineralnych. Usługi te pójdą na pierwszy ogień, zanim puszczą lody, najpierw na użytkach zielonych. W tych pracach SKR niesie gospodarstwu dużą pomoc. Wysiewa usługowo ponad 4 tys. ton nawozów, podczas gdy rolnicy kupują w granicach 6 tys. ton.

Roman Radomski mówi o sobie, że pochodzi z importu. Przyjechał na Białostockie w 1946 r. z woj. łódzkiego. Walczył z bandami. Później pracował w aparacie partyjnym w Augustowie. W 1960 roku przeszedł do augustowskiego PZKR, gdzie pełnił kolejno funkcje sekretarza, wiceprezesa i prezesa.

Kiedy w sześćdziesiątych latach przed kółkami zapaliło się zielone światło, Roman Radomski z pasją zabrał się za kółkowe inwestycje. Nie mógł patrzeć, jak maszyny niszczyły pod gołym niebem. A że ma w sobie żylkę budowlaną, stawiał ciągle nowe obiekty, tam, gdzie najbardziej były potrzebne. Za jego prezury, w latach 1964-68 wyrosły 24 MBM-y, m. in. w Rutkach, Bargłowie, Osowym Grądzie. Przy bazach powstawały budynki mieszkalne, pomieszczenia socjalne.

Wszystko byłoby ładnie, gdyby nie to, że dyrektor Radomski nie lubi papierków i od-

kładania spraw na później. Co masz zrobić jutro, zrób dziś — mówi. Więc gdy się zorientował, że załatwianie formalności związane z budową garaży potrwa długo, zaczął działać na własną rękę. Nie zgadzał się na przykład z architektami, którzy oferowali dokumentację niepraktyczną. Przerabiał je wspólnie z majstrami i rolnikami, ale koszty rosły. Później sam rysował projekty. Żeby było taniej, większość materiałów na garaże kółka produkowały we własnym zakresie. Jak liczy Radomski, na 24 obiektach zaoszczędzono 11 mln złotych. Ale to szarpanie się Radomskiego z biurokracją nie wszystkim się podobało. Zaczęły się donosy do różnych instytucji i organów kontroli, że buduje nie-

ciagle do niej dopłacał. Robił od 300 do 1000 ton surowca, a i taki się zaniedbał. To nie estradzie Radomskiego od powziętych zamiarów. Wiele pracy włożono w łaki, zastosowano uderzeniową dawkę nawozów mineralnych, ale efekty były. Dyrektor osobiście tego dopilnował, bo jak mówi, żaden szef z biurowym wynikiem nie będzie. Tym, co się robi, trzeba żyć, pracę kochać jak własną żonę. Wąska rzecz to umieć wyłożyć z zagłosa. Tego nie kupi się za pieniądze, ani w szkole nie nauczy.

W 1975 r. suszarnia stanęła na nogi. Wyprodukowano 1600 ton suszu (w roku ubiegłym ponad 2 tys. ton z tych samych użytków zielonych). Stała się nie kulą w nogi, ale złotym jabłkiem dla spółdzielni i rolników. W kilka miesięcy po przejęciu zakładu ruszyła przy nim mieszalna pasza, produkująca rocznie 12-16 tys. ton mieszanki treściwych.

Sztabinska mieszalnia zapotrzebuje w pasze SKR-y w woj. suwalskim i częściowo białostockiej oraz rolników ze swojej gminy. Mając taki atut, jak pasze, SKR w 1976 r. nawiązała kooperację z rolnikami w zakresie hodowli. Chciała nie posiadać ani jednego własnego stanowiska inwentarskiego, sprzedawać w zeszłym roku ponad 500 ton mięsa. Tajemnicą tkwi w umiejętności organizacji hodowli i pomocy rolnikom. Spółdzielnia ma 82 kooperantów, z których 27 specjalizuje się w hodowli małoc, dostarczając warchaki dla kontrahentów w zakresie tuszu. Na przykład Józef Krukowski z Wrotek od 16 marcowi sprzedaje rocznie 350 warchaków. Największymi kooperantami w chowie tuczników są Stanisław Siemiaszko z Czarniewa, który rocznie dostarcza ponad tysiąc tuczników, Lech Usarski, Józef Karczewski. W chowie bydła-opasowego wyróżnia się Jan Pomikier. Rolnicy chwalią sobie współpracę ze spółdzielnią. Mają w niej pewnego dostawcę pasz do zagród, materiał hodowlany, odłóżkę zwierząt, zapewnione bezpłatne usługi weterynaryjne. Dzięki kooperacji wielu rolników wybudowało, bądź zmodernizowało chlewnie i obory. Korzystając

Zostać ślad po sobie

transportu i innych usług SKR. Rozwinęła się specjalizacja gospodarstw.

Wszystkie poczynania 1977 r. w Sztabinie złożyły się na to, że w 1977 r. zajęła ona pierwsze miejsce we współzawodnictwie między spółdzielniami na szczeblu wojewódzkim. Wyniki za rok ubiegły też wypadły dobrze, chociaż wszystkie nie da się wyliczyć w złotychach. Przychody ze sprzedaży produkcji, usług i towarów wyniosły 146 mln zł, zysk — 16 mln. Dla rolników indywidualnych wyszczególniono usługi wartości 11 mln zł. Nie znaczy to jednak, że wszyscy byli zadowoleni. Były interwencje co do terminowości usług. Wiadomo, gdy są pilne roboty w polu i dobra pogoda, kiedy chce być pierwszy. A maszyny jeszcze brakuje, jak choćby przetrząsacz-zgrabiarek, rozrzućników obornika, bron ciągnikowych. Pomijając niedociągnięcia, SKR wykonuje usługowo 80 proc. prac polowych.

Mimo dawnych nieporozumień, budowlana pasja Radomskiego znów ujawniła się w Sztabinie. W połowie 1977 r. dyrektor utworzył własną, 9-osobową grupę budowlaną i zaczął stawiać budynek administracyjno-socjalny dla spółdzielni o 24 pokojach. Znajdą się w nim pomieszczenia biurowe, kuchnia ze stołówką, świetlica dla sportowców. Jeszcze w tym roku grupa przystąpi do budowy przedszkola w Sztabinie na 120 miejsc. Inwestycja ta będzie realizowana wspólnie z gminą. Dwa lata temu pracownicy SKR zwrócili się do dyrektora z prośbą o pomoc w kupnie działek pod budowę domów. Sprawa te rozpatrzone w gminie, a wniosek zatwierdzono na sesji GRN. Wydzielono 26 działek, a obecnie na 17 z nich stoją mury, piętrowe i parterowe domy. Pracowników SKR i innych instytucji. Do tej dzielnicy spółdzielni zrobiła szeroka ulicę. Gdy zgłosili się chętni do kontraktacji truszkawek, SKR wydzierżawiła ze swojego gospodarstwa 5 ha ziemi, którą podzielono na 20-arowe działki. Powstała zblokowana uprawa tych owoców.

W czasie dyrektowania Radomskiego nabyliście wiele dyplomów. Można by nimi obwieścić co najmniej dwie ściany. Na razie nie ma na to miejsca. Ale po przeniesieniu do nowego budynku każdy znajdzie się w widocznym punkcie.

J. SZTACHELSKA

Samorząd na kółkach

Jeżeli dyrektor eskaeru w Rutkach Kossakach, magister ALFRED BAGIŃSKI twierdzi, że podstawą działalności spółdzielni jest samorząd, to dlaczego — kiedy zawiązał na zebranie do Zamb: zyc Nowych — przez kółka rolnicze go: po co pan przyjechał, przecież my dawno nie istnie,emy? Jeżeli tenże dyrektor zapewnia, że samorząd funkcjonuje co-raz sprawniej, co przejawia się też w twórczych i burzliwych zebraniach wiejskich, to dlaczego STANISŁAW ZALEWSKI, rolnik z Mężenina powiada, że tylko raz w roku może swe żale wygarnąć, a chciałoby się pogwarzyć częściej? Jeżeli przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Rutkach — STEFAN CIELEMECKI jest przekonany, że samorząd rządził wsią i gminą, to dlaczego żaden z sześciu rolników z Mężenina zapytanych o swego prezesa kółka rolniczego, nie potrafił wymienić jego nazwiska? Czyżby nie wiedzieli, kto u nich ustala kolejki na kółkowe plugi?

Jeśli mówi się o rosnącej na powroty randze samorządu wiejskiego, to dlaczego prezesom nie zwrócili uwagę na im przed sześć laty osobistych pieczęci? — Jeśli powiada się, jak wiele samorząd zna-czy i co nie może zdzi-łać, to niby dlaczego Edward Kapica, członek Rady Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chlopska” nie może od kilku miesięcy kupić w geesie węgla, którym to geesem kieruje zarząd, a którego Rada „rolnicza”, a nawet może go zdymisjonować?

Albo jeśli samorząd „Samopomocy (jak samo to samo) Chlopskiej” liczy w gminach Zawady i Rutki 4054 członków, to dlaczego nie mogą w tym miejscu publicznie pochwalić choćby czterech najbardziej aktywnych i zasłużonych działaczy? A jeżeli radny ze wsi Szlasy Lipno Edward Grodzki, ba, więcej niż radny — szarak — przewodniczący Komisji Rozwoju Gospodarczego i Zaopatrzenia GRN w Rutkach, spotyka na drodze traktorzystę maltretującego w sposób okrutny ciągnik (mowa o prawdziwej, który jest wspólną własnością członków spółdzielni (ten ciągnik, rzecz jasna), to dlaczego radny jest na tyle obojętny, iż nie ma, nie dyrektora Bągińskiego o wybrach jego pracownicy? Bo Grodzki raz się sparzył na podobnej sprawie i przyrzekł sobie, że interweniować więcej nie będzie. Albo jeżeli pracownik Centrali Miesnej obywateli Stefan Pupek, na sejmie zwanym klasyfikatorem, w obecności prezesa samorządu i jego zastępcy (siebie, jako kibica nie licząc) zwraca się do rolnika Maliszewskiego: albo pan dajesz bydlaka na reklamację, albo pan spie... a na te zrozumiałe polecenia nikt nie reaguje, to czyż rolnik Maliszewski może liczyć na wsparcie jakiegokolwiek samorządu?

Ale jeśli ktokolwiek by sądził, że samorząd wiejski w gminie Rutki jest niewidoczny, a kto odważniejszy powie, że upadł bądź zbliża się ku temu, ten się poważnie myli. No bo jeśli tak miałoby być, to dlaczego w gminie Rutki w dniu 20 lutego drogi były lepiej odśnieżone aniżeli wiele ulic

w Białymstoku i w Warszawie? I sekretarz KG partii — Stefan Cielemecki jest przekonany, że choć spółdzielnie wiejskie zasklepiały się w sobie i zbyt oddaliły od samorządu, to jednak przy najpóźniejszych styczniowo-lutowych zawieruchach ich samorząd się nie zawiesił, ani się nie rozproszył, lecz sam się odnalazł i zwrócił, walcząc z białym żywiołem. Na wezwanie sołtysów, do pomocy zgłosili się prawie wszyscy, a ci co nie mogli, przez tych pierwszych posyłali usprawiedliwienia.

Cóż zatem warto pytanie, jakie stawałem w Rutkach: jest u was we wsi samorząd, czy go nie ma, funkcjonuje, czy też nie, liczy się na zewnątrz, czy się nie liczy? Przecież na mapie wiszącej w gabinecie przewodniczącego GRN w oczach aż czerwono, czarno i zielono od samorządu. Gmina ma 44 wioski, a wieżące czerwonych oznaczających istnienie ochotniczych straży pożarnych namalowano ponad 15, chorągiewek czarnych znamionujących „babskie rządy” w kółkach gospodyń wiejskich naliczyłem jeszcze więcej, zaś zielonych trójkątów siedź kółek rolniczych jest już blisko 30.

A skoro frekwencja na zebraniach wiejskich sięga 60 proc., to czy nie świadczy to o jego popularności i sile oddziaływania na środowisko? Dowód pierwszy z brzęgu: zebrane wiejskich przedstawicieli GS w Gradach Wonięcku, gdzie na 128 członków, obecnością zaszczepiło 77, a więc jedna dziesiąta procenta ponad średnią gminną. Te precyzyjne statystyki należy uzupełnić o siedem wniosków. Kolejno: pierwszy — dostarczyć do sklepu więcej kurczaków, smalcu i konserw mięsnych, drugi — prosić o rytmiczne dostawy cukru i maki, trzeci — chcemy by miejscowy sklep skupował butelki, czwarty — upoważnić sklep do sprzedaży nożyczekowej, piąty — w sklepie potrzebny od zaraz telefon, szósty — za mało otrzymujemy bulek, siódmy — trzeba więcej węgla. Obecny na spotkaniu wiceprezes GS — Ryszard Modzelewski mówi mi, że zarząd uwzględnił pierwsze trzy postulaty. Sprawa telefonu — choć trudna, bo telekomunikacja żąda 40 tys. złotych — ale do załatwienia. Bulek niestety, pieczę się za mało, a więcej nie można, więc nie z tego, za obrót poza rynek jest wykluczony, gdyż w pierwszej kolejności trzeba zaopatrzyć odbiorców indywidualnych.

Na wielu, o ile nie na wszystkich, zebraniach rolnicy najdłużej dyskutują o braku węgla. A właściwie nie dyskutują — prostuje Stefan Cielemecki — lecz uskarżają się jak dzieci na bolące zęby. Gmina w styczniu zamiast tysiąca ton dostala osiemnaście, w lutym — nic, a powinno przysłać około tysiąca ton. Wagon gdzieś utkniął, pociesza się na wszelki wypadek rolników. Jerzy Czajkowski z Kolomyki, przewodniczący Komisji Ładu i Porządku Publicznego GRN mówi, że właśnie z racji braku węgla tak dużo ginie drzew przy drogach. Ale uważa to za akt samobrony ze strony gospodarzy. Więc komisja na drzewostanowe ubytki nie zwraca specjalnej uwagi. Edward Kapica natomiast postępuje lojalnie: wyciął część własnego sadu i pali gruszkami oraz jabłkami, bo społecznikowi nie wypada się narażać.

Kwestia usług. Dyrektor Bągiński nie ukrywa: aktywne kółka rolnicze mogłyby wiele trudności zlagodzić, gdyby... miało autorytet we wsi. Bo ten upadł wraz z powstaniem SKR, przed pięcioma laty. Chłopów przesłano, odbierając im władzę w dysponowaniu sprzę-

tem. Teraz zaufanie odbudować trudno.

W ogóle słowo „odbudowa” w Rutkach robi zawrotną karierę. Najpierw odbudowywano pogłowie trzody chlewnej i kiedy się z tym uporano, przyszło odbudowywać pogłowie bydła. Przed dwoma-trzema laty wydawało się, że nawozowe kłopoty minęły bezpowrotnie, lecz dzisiaj mówi się, że trzeba odbudowywać ich zapasy. Dochodzi jeszcze odbudowa zasobów węgla i dwóch budynków po byłych szkołach, w których prezes geesu — Kazimierz Prokurat na wniosek samorządu chce urządzić pawilon handlowo-usługowy.

Wszystcy gminni notabie podkreślają postęp, jakiego dokonała spółdzielnia w sferze pomocy dla wsi, w rozwoju rolnictwa. Potwierdza ją osiągnięcia SKR. W ciągu pięciu ostatnich lat spółdzielnia „zdjęto” ze stanu przeszło dziesięć traktorów, ale w 1974 roku na każdy wypadało 800 godzin pracy, a w ubiegłym — 1400. Wtenczas roczna wartość usług sięgała 14 milionów, teraz się podwoiła. Cóż z tego mawia Kapica, skoro na terminową usługę liczyć nie może? Gdyby było inaczej, to jak byłoby sens kupowania drogiej maszyny?

Samorząd kółkowy w tej skomplikowanej sytuacji uchwalił, aby traktory przeszły na brygadowy system pracy. Dyrektor Bągiński, inżynier budownictwa z wykształcenia, wie najlepiej, że i na budowach i w rolnictwie dobra organizacja robót zapewnia połowę zwycięstwa. Inicjatywy więc przysłał i zaraz wylizywał: na zbędnych przejazdach spółdzielnia zaoszczędzi rocznie minimum 4 tysiące godzin.

Zaczęto zatem wprowadzać w Rutkach wydajne usługi. Ale równocześnie poczęło do i na dyrektora SKR napływać skargi i donosy, a co bardziej nerwowi osobieści nawykali mu od najroźniejszych. A brygadowy system polegał na tym, że wysłano cały sprzęt do dwóch — trzech wsi, by tam wszystkie roboty za jednym zamachem załatwić. Ale inni w tym czasie pomstowali: to my mamy czekać? Interwencje u gminnych władz poparte papierkami z województwa i Warszawy, że pierwszeństwem należy się gospodarstwu specjalistycznym, zespołom rolników, wdowom, inwalidom, kombatanom i jeszcze innym uprzywilejowanym, wszystko to misternie ułożony brygadowy zamiar rozłożyło na czynniki pierwsze.

Każdy chciałby SKR tylko pouczać i kontrolować. A kto pomoże mi w zdobyciu choćby jednej sruki? Komu ja powiem, że sprzęt stoi nie wyremontowany, bo nie ma części? A czy nie zakrawa na kpiny, jeśli teraz w lutym, telewizja nadaje relację ze szcześcińskiego SKR, że tam cały sprzęt stoi gotowy do wyjazdu w pole, podczas gdy nam brakuje kilkuset zapasowych elementów? — wyrzucha z siebie łate dyrektora.

Kazimierz Prokurat o geoskowskich samorządach mówi tak: — Jeśli komitet członkowski jest energiczny, to sklepowe i magazynierzy wokół klientów tańczą. Bo komitet w każdej chwili może wnioskować zwolnienie pracownika geesu, a zarząd nie będzie miał nic przeciwko temu. O tym obie strony wiedzą. Najświeższą ofiarą samorządowej przedsiębiorczości jest sklepowa z Grądów, Regina Wolna. Gdzie indziej aktywnie istnieje jedynie na papierku i wtedy o pomoc — bywa — prosi nas komitet gminny partii. Pytam wtedy czołową samorządu: dlaczego wy nie interweniujecie, tylko partia musi was wyręczać? Potem już tylko pozostaje przeprowadzenie nowych wyborów. Odpowiedź na to pytanie jest wymijająca.

HENRYK KIN